BIULETYN STOWARZYSZENIA

WSPÓLNOTA POLSKA

wrzesień 2000 9 (97)

Prasa wileńska '39

Miednoje

XX lat „Solidarności"

Polacy w Dolinie Rodanu

Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Berdyczowie

Czym Częstochowa dla Polski, Wilno dla Litwy, tym Berdyczów ze swoim Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej jest dla Ukrainy.

Drodzy przyjaciele, tym listem chcemy serdecznie podziękować za pomoc i ofiarność oraz przybliżyć naszą działalność w Berdyczowie w ostatnim okresie.

W czasie świąt Bożego Narodzenia przeprowadziliśmy akcję pomocy dla biednych rodzin z naszych parafii, ofiarując im zimowe ubrania i buty. Dzieci dostały artykuły szkolne oraz podręczniki do katechezy. Wiele rodzin otrzymało artykuły spożywcze. Jednym słowem - umożliwiliśmy im radosne i pełne przeżycie świąt. Dzięki pomocy wielu ludzi dobrej woli mogliśmy dotrzeć do większej liczby potrzebujących rodzin. Naszym zadaniem jest także opieka nad powołaniami do życia konsekrowanego. W dniach 3-5 marca na rekolekcje, prowadzone przez o. Tomasza, przyjechali młodzi ludzie z całej Ukrainy, ogółem 70 osób. Dwóch młodych chłopców z Berdyczowa przygotowuje się do wstąpienia do zakonu, a jeden już odbywa studia teologiczne w Polsce. W święto Zwiastowania Anielskiego, 25 marca, gościliśmy w naszym Sanktuarium nuncjusza apostolskiego abp. Mikołaja Eterowicza, który był głównym celebransem uroczystej Mszy św. W dniach 20-21 maja odbyły się w naszym mieście po raz pierwszy Dni Kultury Polskiej, których celem jest odrodzenie polskości na tych terenach.

W dalszym ciągu trwa odnawianie górnego kościoła naszego Sanktuarium oraz budowa centrum formacyjno-socjalnego. Budowę tę mamy zamiar skończyć jesienią 2001 roku.

Ze względu na wciąż pogarszającą się sytuację ekonomiczną Ukrainy, nie jesteśmy w stanie sami pokryć wszystkich wydatków związanych z naszą działalnością. Jest to możliwe tylko dzięki ofiarom ludzi dobrego serca nadsyłanym z zagranicy. Dlatego polecając modlitwom przyszłość tego Sanktuarium, ośmielamy się prosić o wsparcie finansowe.

Modlimy się w intencji ofiarodawców przed cudownym obrazem.

Składamy serdeczne „Bóg zapłać"

Karmelici Bosi z Berdyczowa

Adres kontaktowy w Polsce:
o. Benedykt Krok OCD, ul. Rakowicka 18, 30-960 Kraków

Adres na Ukrainie:
Karmelici Bosi, Płoszcza Soborna 25, 13312 Berdyczów, Żytomierska obł.
tel. (00380) 4143 22350

Konto:
Prowincja Krakowska Karmelitów Bosych
Biuro Pomocy dla Sanktuarium w Berdyczowie
Bank PEKAO S.A. IV/O Kraków 10801138-3287-27006-801000-111/1

W numerze:

XX lat Solidarności

XX lat Solidarności 2
Ludziom Sierpnia 3
Ryszard Brykowski

Ze świata

AUSTRALIA
50 lat SPK w Australii 4
TV Polonia na antypodach 5

BIAŁORUŚ
Obrazki zaniemeńskie - 3 5
Zdzisław J. Winnicki
Odsłonięcie pomnika w Czerwieni 8

BRAZYLIA
Ruy Wachowicz - pożegnanie 8
Elżbieta Budakowska

FRANCJA
„Polonium" i marzenia 9
Agnieszka Panecka
O przyjaźni francusko-polskiej 10
Agnieszka Panecka
Kolumb - rocznik 23 13
Andrzej Zamojski
Młodość „Poloniki" 15
Agnieszka Panecka

LITWA
Osiemnaście dni prasy wileńskiej 17
Józef Szostakowski

ROSJA
Szkoła letnia w Sankt Petersburgu 19
Krzysztof Pożarski
Ostaszków, Twer, Miednoje 21
Zbrodnia katyńska 24
Andrzej Kaczyński

STANY ZJEDNOCZONE
Galowy koncert w Chicago 26
Wojciech A. Wierzewski
VI Zjazd Nauczycieli w Los Angeles 28

SZWAJCARIA
Piknik „Pod kasztanem" 30
Barbara Tschopp-Nowak

SZWECJA
Szwecja - Polska 30
Jolanta Wroczyńska

UKRAINA
Szkolnictwo polskie na Ukrainie 32
Jacek Borzęcki

Z prac Stowarzyszenia

Oddział w Bielsku Białej 35
Oddział w Krakowie
Letnia szkoła dla młodzieży polonijnej 35

9 (97)
wrzesień 2000

nasza okładka:
Jubileusz Chóru "Polonium"
Fot. A. Panecka

Oddział w Łodzi
Owocne lato 36
Maria Piotrowicz
Oddział Północnomazowiecki
Kresowa dusza 37
Grzegorz Russak, Bogna Kaniewska
Oddział Wielkopolski
Obóz Języka Polskiego, Sportu i Turystyki 39
Dariusz Łukaszewski
Letnia Szkoła Kultury i Języka Polskiego 40
Danuta Krężlewska
Szkolenie komputerowe dla nauczycieli z Litwy 40
Bożena Zięba
Polonijni bibliotekarze 40
Bożena Zięba

Silva Rerum

60 lat "Dziennika" 41
Jolanta Wroczyńska
Związek dziennikarzy na Wschodzie 44
Tuchomie 2000 44
Pożegnanie kuriera - Jana Karskiego 46
Bogna Kaniewska
Krajowe Stowarzyszenie Brasławian w Polsce 46
Włodzimierz Skukowski
Wspomnienie września 1939 roku 47
Józefa Koblenc
Władysław Ossowski - wspomnienie 48

Wszystkich Czytelników zapraszamy
na naszą stronę internetową:
www.wspolnota-polska.org.pl
na której zamieszczamy aktualne informacje,
nadsyłane przez Państwa na nasz nowy e-mail:
apanecka@wspolnota-polska.org.pl

XX LAT SOLIDARNOŚCI

20 lat temu połączyła Polaków siła ducha - idea zwycięstwa nad komunizmem, prawdy nad kłamaniem i pragnienie „odnowy oblicza tej ziemi". Nie było ani ideologów, ani prac fundamentalnych, ani nawet programu. Solidarność tysięcy strajkujących i modlących się ludzi zadziwiła świat i połączyła stoczniowców, kolejarzy - robotników w całej Polsce z inteligencją i wsią. Do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" w 1981 roku należało 10 milionów członków. Na przełomie sierpnia i września br. cała Polska świętowała 20-lecie powstania „Solidarności". Odbywały się spotkania, konferencje, wystawy, pokazy filmów dokumentalnych, sprzedaż „bibuły" itp. W prasie codziennej i tygodnikach pojawiły się wspomnienia i przywódców, i strajkujących robotników, wywiady i reportaże, stare zdjęcia, a nawet fragmenty stenogramów z V Plenum KC PZPR z 30 sierpnia 1980 roku oraz setki relacji z uroczystości rocznicowych i materiałów publicystycznych, pisanych przez polityków i ideologów różnych opcji.

Główne, trzydniowe obchody rozpoczęły się 29 sierpnia br. w Gdańsku, gdzie przed Bramą nr 2 Stoczni, symbolizującą koniec totalitaryzmu zebrali się sygnatariusze Porozumień Sierpniowych z Lechem Wałęsą na czele, uczestnicy strajku oraz ludzie „Solidarności".

"Nikt nie ma wyłączności na prawa autorskie do wydarzeń sprzed 20 lat. Było to wspólne dzieło wielu ludzi, nasza wspólna sprawa, wielka jak Pospolita Rzecz" - powiedział przywódca „Solidarności" Lech Wałęsa, otwierając w historycznej sali BHP w Stoczni Gdańskiej wystawę pt. „Drogi do wolności".

Na wystawie można było obejrzeć m.in. 21 postulatów i długopis, którym Wałęsa podpisywał Porozumienia Sierpniowe z przedstawicielami PRL-u, zdjęcia, powielacze, pancerny wóz ZOMOwców z armatką wodną, pusty sklep mięsny oraz fragment muru berlińskiego. Oklaskami nagrodzono słowa burmistrza Berlina Eberharda Diepgena: „To drugi Cud nad Wisłą, związany z miastem leżącym tam, gdzie Wisła wpada do morza. (...) Proces, który zaczął się od skoku Lecha Wałęsy przez mur Stoczni, zakończył się runięciem muru w Berlinie. To bardzo wzruszający moment, dobry, by powiedzieć - dziękuję". Natomiast Lech Wałęsa, dziękując uczestnikom protestów, powiedział m.in.: „Pragnę zwrócić uwagę na narastającą z upływem czasu wielkość tego zwycięstwa, narastające uznanie dla uczestników tamtych dni. Przez ten czas przyśpieszenie historii było tak znaczne, że nie oddaliśmy sprawiedliwości tym, którzy na to zasługują. Nie powiedzieliśmy słowa „dziękuję" w sposób satysfakcjonujący". W swoim przemówieniu dziękował także korespondentom zagranicznym, którzy głosili światu „nieocenzurowaną prawdę", kapłanom, którzy „nieśli nam duchowe wsparcie", tym, którzy drukowali strajkowe biuletyny oraz wszystkim, „którzy już następnego dnia po zawarciu Porozumień Sierpniowych rzucili się w całym kraju do pracy organizacyjnej".

Następnie uruchomiona przez Lecha Wałęsę stoczniowa syrena obwieściła otwarcie obchodów dwudziestolecia związku, a w górę poszybowało 7300 baloników symbolizujących dni, które upłynęły od 31 sierpnia 1980 roku.

W Gdańsku obradował też nadzwyczajny szczyt Europejskiej Partii Obywatelskiej (EPP), powstałej w 1976 roku i skupiającej ugrupowania chrześcijańsko-demokratyczne, do której obecnie należy 21 ugrupowań z krajów Unii Europejskiej oraz stowarzyszonych z nią 16 partii z krajów kandydujących. Przewodniczący EPP Wilfried Martens zapowiedział, że podejmie starania, by rozszerzenie Unii nastąpiło do 1 stycznia 2003 roku. Podczas spotkania liderzy EPP i szefowie rządów - premierzy Polski, Hiszpanii, Słowenii, Słowacji, Malty i Bułgarii - w specjalnej uchwale uznali m.in.: „Solidarność pozostaje stemplem probierczym naszej wizji Europy i Unii, która nie może uważać się za dopełnioną póki nie obejmie narodu, w którym zrodziła się „Solidarność"".

W pierwszym dniu oficjalnych obchodów 20-lecia „Solidarności", podczas odbywającej się w gdańskim Dworze Artusa konferencji nt. „Idea solidarności jako czynnik kształtujący politykę XXI wieku" premier RP Jerzy Buzek zaproponował, aby 31 sierpnia stał się Dniem Międzynarodowej Solidarności i polskim świętem narodowym. Na konferencję, której współprzewodniczyli Lech Wałęsa i Marian Krzaklewski, przyjechali m.in. Norman Davis i Jan Nowak-Jeziorański. Na zaproszenie premiera Jerzego Buzka przybyli szefowie rządów Hiszpanii, Słowacji, Słowenii, Bułgarii i Malty oraz byli polscy premierzy - Tadeusz Mazowiecki i Jan Krzysztof Bielecki.

Premier Jerzy Buzek powiedział: „Jesteśmy tutaj, aby wrócić do idei, która połączyła polskie społeczeństwo 20 lat temu. By powiedzieć raz jeszcze, że idea solidarności jest żywa i jest Europie potrzebna". Premier mówił także o solidarności jako wezwaniu do współodczuwania i współdziałania dla dobra wspólnego oraz odpowiedzialności, która rozpoczyna się od nas samych, własnej rodziny i swego domu, ale nie ma takiej zbiorowości, na której nasza odpowiedzialność się kończy.

Legendarny przywódca „Solidarności" Lech Wałęsa przypomniał o roli nauczania Ojca Świętego podczas pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny w czerwcu 1979 roku: „Nikt nie wierzył w możliwość upadku komunizmu. (...) Pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II wywarła niezapomniany wpływ na naszych rodaków. Mogli podczas wielomilionowych spotkań z Papieżem poznać swoją siłę. Po roku nie mieliśmy w sobie lęku i zaczęliśmy zmieniać oblicze ziemi". Myśl tę rozwinął w swoim wystąpieniu obecny przewodniczący „Solidarności" Marian Krzaklewski: „Kiedy polscy komuniści w obcym interesie wprowadzili stan wojenny, wielu ludzi małej wiary myślało, że „Solidarność" jest pogrzebana na zawsze. Ludzie „Solidarności" nie stracili jednak wiary, nie chwycili za broń, ale pokojowo, cierpliwie znosząc prześladowania i represje podczas tych lat marszu przez pustynię beznadziei, udowodnili swoją wierność idei solidarności przez duże i małe «S»".

W końcu zdanie o „Solidarności" zmienić musiał prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, przepraszając wszystkich, którzy mogli poczuć się dotknięci jego wypowiedzią w Radiu Gdańsk, że nie zapisał się w 1980 roku do „Solidarności", bo powstrzymał go „ten owczy, straszliwy pęd, który rozpoczął się już we wrześniu".

Uroczysta Msza św. na placu wokół Trzech Krzyży - pomnika Poległych Stoczniowców w Gdańsku była głównym punktem ostatniego dnia obchodów 20-lecia „Solidarności". W modlitwie uczestniczyli przedstawiciele najwyższych władz państwowych,

rządu i parlamentu, prezydenta RP reprezentowała szefowa Kancelarii. Pod pomnikiem Stoczniowców zgromadziły się poczty sztandarowe „Solidarności" z całej Polski prawie trzy tysiące osób, a oficjalna część obchodów rozpoczęła się od złożenia kwiatów pod pomnikiem ofiar Grudnia '70. Na uroczystościach obecna była także była premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, która po raz drugi gościła w Gdańsku (w listopadzie 1988 r. spotkała się m.in. z Lechem Wałęsą).

Mszę św. u stóp pomnika Poległych Stoczniowców koncelebrowało dwudziestu pięciu biskupów pod przewodnictwem Prymasa Polski kard. Józefa Glempa. W wygłoszonym kazaniu Prymas Polski powiedział m.in.: „Chrystus stanął wśród robotników Stoczni, bowiem cud, jaki wydarzył się nad Bałtykiem, był poprzedzony milenijną nowenną narodu". Kardynał Glemp podkreślił, że wydarzenia sierpnia 1980 roku udowodniły, że w trudnych chwilach Polacy potrafią się zjednoczyć. Przyrównał te wydarzenia do Cudu nad Wisłą roku 1920, kiedy cały naród zjednoczył się w modlitwie i w ofiarności na rzecz armii. Zwrócił uwagę na pozytywne cechy Polaków i podkreślił, że wolność i niepodległość są tymi wartościami, które mimo trudności potrafią zmobilizować cały naród. Prymas powiedział także, że 20 lat temu dokonało się zwycięstwo robotników nad zorganizowanym kłamstwem, które zapoczątkowało walkę o pełnię praw człowieka i zaapelował: „Zwycięstwo trzeba utrwalić, nie można go zmarnować, musi ono sięgać głęboko w duszę pokoleń, by nie popełniać błędów, lecz widzieć piękne owoce zwycięstwa". Prymas wezwał do pielęgnowania solidarności i jedności wszystkich grup społecznych: „Trzeba solidarności odczytanej jako cnota i siła, którą daje człowiekowi Bóg. Trzeba więc jedności między warstwami społecznymi, tak jak było 20 lat temu. I robotnik, i rolnik, inteligencja i duchowny razem stają do wielkiego dzieła wolności i zwycięstwa, aby utrzymać w czasach pokoju te wartości, którymi będzie miłość Boża nad człowiekiem. I to jest normalność, do takiej normalności chcemy dążyć".

Jolanta Wroczyńska

Ludziom Sierpnia

Dwudziesta rocznica zrywu wolnościowego Stoczniowców Gdańskich, zrywu, który szybko rozszerzył się na cały kraj, stając się początkiem klęski komunizmu, zaowocowała falą okolicznościowych wypowiedzi, artykułów i audycji radiowo-telewizyjnych.

Pisali i głos zabierali dziennikarze, politycy, naukowcy, a także uczestnicy tamtych gorących i wielkich dni, zarówno ci z pierwszego szeregu, jak i z dalszych szeregów zwartego, połączonego wspólną solidarnościową ideą, tłumu. Niestety, tych ostatnich, autentycznych świadków, zwłaszcza z dalszych szeregów strajkujących Ludzi Sierpnia było najmniej.

Zabierali też głos ludzie będący dwadzieścia lat temu jeszcze bardzo młodymi, a także ludzie stojący wówczas na uboczu wartkiego życia narodu oraz ludzie „z przeciwnego obozu", którzy do „Solidarności" nie doszlusowali z niechęci „do owczego pędu"!

Artykuły i wypowiedzi miały różny charakter: - wspomnieniowy i historyczny, niekiedy bardzo osobisty i emocjonalny, w których tlił się jeszcze żar tamtego czasu; - analityczny, nie zawsze przybrany w szatę spokojnej, wyważonej, beznamiętnej dyskusji i były wreszcie wypowiedzi ostro polemiczne, wręcz napastliwe, nawet niekiedy kłamliwe. Żadnych nie cytuję.

We wszystkich prawie wystąpieniach, zwłaszcza tych o charakterze porządkującym, rozliczającym i szufladkującym wydarzenia sprzed dwudziestu laty, a w konsekwencji również z lat następnych, aż po „zwycięstwo w samo południe", ich autorzy podkreślali wielką mądrość narodu, który nareszcie zerwał z romantycznym sposobem widzenia świata i spraw polskich.

Z okazji Tamtego Sierpnia, teraz, w dwadzieścia lat później, otwierano wystawy, organizowano okolicznościowe spotkania, składano wieńce. Jednych zapraszano, innych pomijano, o wielu, o bardzo wielu, po prostu zapominano. Zdarzało się, że tu i ówdzie zapomniano nawet o Tym „co przeskoczył przez płot", chociaż to jeden z trzech największych Polaków kończącego się stulecia.

Na organizowanych uroczystościach były delegacje, sztandary, kwiaty i przemówienia - nie było tylko jakoś zbyt licznych i zwartych tłumów współuczestników tamtych sierpniowych dni. Właśnie tym nieobecnym tłumom - Ludziom Tamtego SIERPNIA - ze Stoczni Gdańskiej i całego Trójmiasta, ze Szczecina, kopalń śląskich, hut polskich, dużych i małych zakładów pracy, studentom i pracownikom naukowym, robotnikom, inteligentom, księżom i chłopom dowożącym żywność dla strajkujących, tym co wiele dni trwali murem, zdecydowanie i twardo w sercu Warszawy, na dzisiejszym Rondzie Romana Dmowskiego, wreszcie tym z obozów internowania i więzień, a przede wszystkim Pamięci Tych, których z szeregów Ludzi Sierpnia wyrwała ubecka zemsta dedykuję fragment z „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego" Adama Mickiewicza - Wieszcza Narodowego - tak jak go wybrał nasz Wielki Przyjaciel prof. Norman Davies i podał w swym dziele: „Serce Europy. Krótka historia Polski" (Londyn 1995, rozdział „Dziedzictwo siły duchowej", s. 188-189):

„Na początku była wiara w jednego Boga, i była Wolność na świecie... Ale potem ludzie wyrzekli się Boga jednego i naczynili sobie bałwanów i kłaniali się im... Przeto Bóg zesłał na bałwochwalców największą karę, to jest niewolę.

Królowie tedy wyrzekłszy się Chrystusa, porobili nowe bogi, bałwany, i postawili je przed obliczem narodów, i kazali im kłaniać się... I zapomniały narody, iż od jednego pochodzą Ojca... Na koniec w Europie bałwochwalskiej, nastało trzech królów... trójca szatańska... Fryderyk, którego imię znaczy P r z y j a c i e l pokoju... Katarzyna zaś znaczy po grecku c z y s t a... zaś M a r i a T e r e s a nosiła imię najpokorniejszej i niepokalanej Matki Zbawiciela... Imiona tych trzech królów... były to trzy bluźnierstwa, ich życia trzy zbrodnie, a ich pamięć trzy przekleństwa. Tedy trójca owa... wyrobiła nowego bałwana, a tego bałwana nie znano u pogan dawnych... i nazwała tego bałwana I n t e r e s...

Ale jeden naród polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi... I rzekła na koniec Polska: Ktokolwiek przyjdzie do mnie, będzie wolny i równy, gdyż ja jestem Wolność... Ale królowie posłyszawszy o tym, zatrwożyli się w sercach swych... i umęczono naród polski, i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: Zabiliśmy i pochowaliśmy Wolność. A wykrzyknęli głupio.

Bo naród polski nie umarł, ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi... do otchłani, to jest do życia domowego ludów cierpiących niewolę w kraju... A trzeciego dnia dusza wróci do ciała, i naród zmartwychwstanie, i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli".

I słowo ciałem się stało!

Ryszard Brykowski

50 lat SPK w Australii

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Australii świętuje 50-lecie swej działalności.

Po zakończeniu II wojny światowej przeważająca część żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, rozwiązanych przez rząd brytyjski w sierpniu 1947 r., ze względu na sytuację polityczną w kraju zdecydowała się do niego nie wracać. Część z nich jako kraj osiedlenia wybrała Australię. W październiku 1947 r. do Tasmanii przybyła grupa 280 żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, polskich „szczurów Tobruku", dzięki braterstwu broni z żołnierzami australijskimi, zadzierzgniętemu podczas walk w Egipcie, Palestynie i Libii. Otworzyli oni drogę do Australii innym polskim żołnierzom i jeńcom wojennym. W kraju tym w latach 1947 - 1952 osiadło około 3700 polskich kombatantów.

2 lipca z inicjatywy Bolesława Koprowskiego w Sydney odbyło się pierwsze zebranie byłych żołnierzy, którego skutkiem był I Zjazd Polskich Kombatantów w Australii, zorganizowany 12 sierpnia 1950 r. Już 8 maja następnego roku Zarząd Główny SPK w Londynie zatwierdził Komitet Organizacyjny Oddziału Australia, któremu przewodniczył Jerzy Adamski, będący równocześnie prezesem Koła nr 1 w Sydney.

W lipcu 1953 r. doszło do I Walnego Zjazdu Delegatów Kół, który stał się zjazdem organizacyjnym Oddziału SPK w Australii. Uczestniczyli w nim przedstawiciele środowisk z Sydney, Adelajdy, Melbourne, Newcastle i Canberry, którzy na prezesa zarządu wybrali T. Kopcia. W 1954 r. istniało już osiem Kół SPK, liczących łącznie 413 członków. Kapelanem kombatantów został ks. Józef Janus ze Zgromadzenia Jezuitów, pełniący wcześniej posługę w 2 Korpusie.

Podczas zwołanego w 1955 r. dorocznego Zjazdu Delegatów Kół SPK omówiono sprawy podwójnego obywatelstwa, zorganizowania uroczystości ku czci Adama Mickiewicza i Józefa Piłsudskiego oraz konieczności przygotowania pomocy dla Polaków, którzy podczas Olimpiady w Melbourne w 1956 r. wybiorą wolność. Pamiętano również o 10. rocznicy moskiewskiego procesu szesnastu przywódców Polski podziemnej i udzielono poparcia listowi wzywającemu do przypomnienia Zachodowi o tych wydarzeniach, wystosowanemu przez Zarząd Główny SPK.

Duże znaczenie dla rozwoju SPK miała wizyta w marcu 1965 roku w Australii gen. S. Kopańskiego - byłego dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Stowarzyszenie współpracowało zawsze z australijskimi organizacjami kombatanckimi, organizowało obchody kolejnych rocznic bitwy pod Monte Cassino i upamiętniało ofiary mordu katyńskiego. Nawiązało także kontakty z przedstawicielami narodów bałtyckich, by wspólnie przypominać o masowych deportacjach w głąb Związku Sowieckiego. SPK za jeden z podstawowych celów swej działalności uznało pielęgnowanie polskich tradycji i wychowanie młodzieży w polskości poprzez wspieranie ZHP. Przekazywało także fundusze na różne cele społeczne i polityczne, np. Skarbowi Narodowemu, Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu, inwalidom wojennym, repatriantom i niewidomym z ośrodka w Laskach. Poza tym prowadziło akcję zmierzającą do objęcia swych członków prawami kombatanckimi w Australii, czyli przyznania im rent inwalidzkich, emerytur oraz prawa do repatriacji dla byłych polskich żołnierzy i uznania zasady łączenia rodzin. Stowarzyszenie udzieliło również pomocy finansowej wydawcom wielu ważnych książek, w tym „Pamiętnika poetyckiego" Andrzeja Chciuka i „Polaków w Australii i Oceanii" Lecha Paszkowskiego.

Zarząd organizacji nawiązał stałe kontakty z przedstawicielami SPK w Niemczech, Holandii, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Republice Południowej Afryki i Nowej Zelandii. Z czasem kombatanci weszli w skład Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii.

Niewątpliwie do ważniejszych akcji Zarządu Krajowego SPK należał protest skierowany do Ambasady Niemieckiej Republiki Federalnej w sprawie zakończenia okresu ścigania hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Wielokrotnie interweniowano też w urzędach federalnych w Canberze w sprawach wizowych, paszportowych, gospodarczych i organizacyjnych. Fundacja SPK zajęła się informowaniem społeczeństwa australijskiego o konieczności istnienia niezależnego państwa polskiego, faktycznej sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej w Polsce oraz niezafałszowanej historii naszego kraju i wkładzie całego narodu w walkę z totalitaryzmem. Dzięki ogromnemu wkładowi pracy członków miejscowego Koła SPK w Melbourne w 1968 r. została zorganizowana wielka manifestacja z okazji 50-lecia niepodległości Polski, na którą przybyły oprócz rodaków z Wiktorii delegacje kombatantów z Adelajdy, Canberry, Albury i Hobart, a także reprezentanci władz federalnych i stanowych. Z kolei w 1979 r. powołany przez SPK Komitet Obrony Dobrego Imienia Polski wystąpił w ostrym tonie do wydawcy „The Australian Jewish News" w sprawie ataku na Polaków oraz przeciw wyświetlaniu filmu „The Unknown War - The Liberation of Poland". Koło w Adelajdzie przygotowało w 1983 r. wystawę „Poland and the West", którą uczczono 300. rocznicę odsieczy wiedeńskiej, a którą otworzył dyrektor Ministerstwa ds. Weteranów na Australię Południową, R. B. Rogers. W styczniu tego samego roku w Adelajdzie odbył się XVII Zjazd Delegatów Kół SPK, podczas którego przyjęto deklarację ideową dotyczącą sytuacji w kraju po wprowadzeniu stanu wojennego i wezwano do pomocy Polakom. Działania te zostały dostrzeżone przez władze australijskie i w czerwcu 1987 r. patronat nad SPK objął generalny gubernator Australii Sir Nianian Stephen. Liczba Kół Stowarzyszenia wzrosła w tym czasie do 14.

Na XX Zjeździe SPK w styczniu 1989 r. w deklaracji ideowej przypomniano, że Polska nadal nie jest krajem suwerennym i udzielono poparcia ośrodkom i organizacjom niepodległościowym na świecie i w kraju, a przede wszystkim prezydentowi Kazimierzowi Sabbatowi i Rządowi RP na Uchodźstwie. Jednak już na XIV Zjeździe Federacji Światowej SPK w Londynie, który odbył się w kwietniu 1990 r. i którego termin został przyspieszony ze względu na zmiany polityczne zachodzące w Polsce, postanowiono udzielić pomocy „Solidarności" i nowemu polskiemu premierowi, Tadeuszowi Mazowieckiemu, a równocześnie stać na straży utrzymania ciągłości prawowitych władz polskich na obczyźnie do czasu uzyskania przez Polskę całkowitej niezawisłości. Obecnie pracami Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Australii kieruje Jerzy S. Misiak, który w trakcie sierpniowych obchodów jubileuszu został odznaczony przez wicemarszałka Sejmu RP Stanisława Zająca Komandorią Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. *(IBP)*

TV Polonia na antypodach

25 sierpnia została podpisana umowa między Telewizją Polską S.A. i firmą Television & Radio Broadcasting Services (TARBS) na nadawanie programu satelitarnego TV Polonia na kontynencie australijskim. Podpisali ją w obecności gości honorowych prezes Zarządu TVP S.A. Robert Kwiatkowski i dyrektor generalny TARBS Mike Boulos.

Dzięki umowie program TV Polonia będzie dostępny w Australii, Nowej Zelandii oraz na Tasmanii. Australijski partner zobowiązał się również dostarczyć bezpłatnie sygnał TV Polonia do wszystkich polskich placówek dyplomatycznych na świecie.

TV Polonia od wielu lat prowadziła starania o nadawanie programu na kontynencie australijskim. TARBS, jako właściciel etnicznej platformy cyfrowej, był w stanie zagwarantować naszym rodakom w Australii dostęp do programu w każdym możliwym systemie (DTH, MMDS oraz sieci kablowe). Bardzo istotny był fakt uzyskania przez TARBS koncesji rządu australijskiego na rozpowszechnianie programów etnicznych.

Programy TARBS są kodowane cyfrowo. Abonent płaci miesięcznie 59,95 dolarów australijskich za pakiet 39 programów (w tym znajduje się koszt dekodera cyfrowego wraz ze „smart card"). TARBS w ramach subskrypcji udostępnia oprócz programów etnicznych CNN, TNT, Cartoon Network, francuski kanał muzyczny MCM i australijski Sky Racing Channel. Program satelitarny TV Polonia znajdzie się w ofercie platformy TARBS wraz innymi stacjami europejskimi - Deutsche Welle (Niemcy), TV 5 (Francja), RTPi (Portugalia), ERT (Grecja), RTVE (Hiszpania), Duna TV (Węgry). Od czasu rozpoczęcia emisji w lipcu stacja TARBS pozyskała 7 000 abonentów.

Na terenie Australii mieszka na stałe ok. 180 000 Polaków i osób polskiego pochodzenia, tj. 1,2% ogółu ludności Australii - w tym 70 tysięcy osób urodzonych w Polsce. Największymi skupiskami są Melbourne, Sydney, Adelajda, Brisbane, Perth i Hobart.

Obrazki zaniemeńskie - 3

O cyganach, jajkach i węgorzach...

W rok po peregrynacji w lidzkim powiecie oraz Mińszczyźnie, gdy tylko zakończyłem dydaktykę, zaraz pod koniec maja pognaliśmy na Kresy. Ta cudowna ziemia, która odtąd będzie nas zaskakiwała swymi nieoczekiwanymi - a tuż pod sowiecką patynką przechowywanymi - tajemnicami, spotkaniami z ludźmi o niezwykłych życiorysach i charakterach, zaczęła przyciągać jak magnes. Ten drugi raz, także w ramach programu „Wspólnoty", realizowaliśmy w dwu rzutach. Jako pierwsi dla rozpoznania szlaku wyruszyliśmy nyską w trójkę: Boguś Więski, Zbyszek Klewin i ja. Trzy dni po nas mieli dołączyć Ryszard z synem, Mikołaj oraz zupełnie samodzielnie Tadeusz Tymiński z Bystrzycy Kłodzkiej. Zbiórkę wyznaczyliśmy w Wołkowysku. Boguś całą drogę przynudzał, że coś się nie uda, a ponieważ znał okolicę sprzed pięćdziesięciu lat, miał nam doradzać co do kierunku. Dość szybko przeszliśmy na własne pilotowanie, mimo posiadania historycznej mapy, tzw. akowskiej, ukazującej dawne województwa Nowogródzkie i Wileńskie, ale bez Grodna oraz okolicy. Postanowiliśmy jechać tym razem nie przez Brześć, lecz przez Kuźnicę i Grodno, tym bardziej, iż wówczas i jeszcze przez dwa lata później po stronie ruskiej było to przejście służbowe, a zatem praktycznie puste (w Brześciu już wtedy kolejki miały po 6 km). Innych map wówczas nie było. Gdy to zobaczył Marek Gołkowski, wówczas sekretarz Ambasady Polskiej w Mińsku, omal się nie roześmiał zdumiony, że już drugi rok - i to w zasadzie bezbłędnie - jeździmy po nieznanym kraju z taką mapą. (I chyba miał rację, bo rok później, jadąc oznaczoną na mapie drogą w Nalibokach musieliśmy przejechać przez kołchozową stodołę! - mam świadków: byli ze mną Józef Januszewski oraz prowadzący nyskę społeczny kierowca, komisarz policji z Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu, Zygmunt Kijak). Nieco później, gdy lepiej poznaliśmy Mińsk, nabywaliśmy w kiosku (teraz sklepik) mińskiego Państwowego Instytutu Kartografii na rogu ulic Lenina i Warwaszeni mapy sztabówki o dokładności, jakich do dziś nie można kupić w Polsce.

Jadąc całą noc z Wrocławia i przekraczając niemal pustą granicę, co dzisiaj jest trudne do wyobrażenia, wjechaliśmy o piątej rano do Grodna. Świtało. Dojechaliśmy na Dzierżyńskiego 90A do pierwszej, barakowej siedziby Związku Polaków na Białorusi. Było przed szóstą. Co tu robić? Prywatnie nie byliśmy jeszcze zaprzyjaźnieni w Grodnie na tyle, by jechać do kogoś do domu. To było 9 lat temu. Pojechaliśmy zatem pod Sopoćkinie, dokąd wieźliśmy tabliczkę na pierwszy Krzyż Straży Mogił Polskich. Dojechaliśmy po niecałej godzinie, nawiedzając około 7.30 czuwającego już dziekana parafii teolińskiej ks. Witolda Łozowickiego. Poznał nas i pokazał przygotowany metalowy płotek, którym zamierzał ogrodzić Krzyż pod nieodległymi stąd Nowikami. Chciał nas także wyposażyć w rublowe kieszonkowe. Podziękowaliśmy, tym bardziej, że w jego pięknej świątyni z polskimi napisami spustoszenia dokonał zimą pożar, a parafia właśnie kończyła poremontowe malowanie.

Tabliczkę na Krzyżu przykręciliśmy i przed południem przybyliśmy na herbatę i śniadanie (z własnego prowiantu) w siedzibie ZPB. Zaopatrzeni w „Głos znad Niemna", mając w perspektywie prawie dwa dni do przebycia drugiego rzutu wyprawy, wyruszyliśmy na szlak sprzed roku do „lidzkiego powiatu", biorąc kierunek na Małe i Duże Możejkowo, za którymi znajduje się Feliksowo.

W Feliksowie przed wojną mieszkał Boguś, zaś obecnie w tej całkowicie prawosławnej wiosce nadal mieszkały jego dwie, także prawosławne, kuzynki. Zresztą rodziny miał i ma tu więcej, zaś w Lidzie, w przepełnionym hotelu otrzymaliśmy miejsce, ponieważ dyrektor też nazywał się Więski. Możejkowo (Małe) w kilka lat po naszym przybyciu stało się sławne w sposób szczególny - po pierwsze tutejszy kołchoz nie zniszczył polskiego dworu (własność najpierw Romerów, a następnie aż do „wyzwolenia" w 1939 roku - Brochockich), po drugie - co już mniej dziwne - nie zniszczył przedwojennej gorzelni z tutejszego majątku. Za to najbardziej dziwne stało się to, że produkowaną tutaj popularną, całkiem dobrą jak na sowieckie warunki, wódkę nazwano Panski Dom, co

w wolnym tłumaczeniu (i białoruskim rozumieniu) oznacza dwór polski. Na etykiecie, co usuwało wszelkie wątpliwości, widniał obrazek klasycystycznego frontonu możejkowskiej posiadłości. Znajomi z tamtej strony, możejkowską inicjatywę uznali za politycznie niezwykłą. Nam też się dwór bardzo spodobał, co więcej; polubiliśmy go (podobnie, jak w podbohatyrowickich Gładowiczach, produkt o nazwie Polka, też z odpowiednim rysunkiem, ale o tym w kolejnym odcinku).

Rodzina Bogusia - też w Lidzie i też mieszana - zaskoczyła nas czym innym. Szwagier, mąż kuzynki, rodowity Rosjanin, w 1992 roku późnym wieczorem wyraził wobec nas - widać długo skrywaną, bo bardzo nerwową, na granicy irytacji - pretensję (w czyściutkiej mowie Puszkina!): „kiedy nas wreszcie ten Walensa zabierze!?" Nie byliśmy w stanie wyjaśnić.

Zanim to jednak nastąpiło, pojechaliśmy sprawdzić stan krzyży w Naczy i Wawiórce. Nacza to już powiat Woronowo (Boguś twierdzi, iż Werenowo), praktycznie na samej granicy z dzisiejszą Litwą. Granice wyznaczano tutaj chyba tak: cięto jednorodnie polskie gminy na pół, jakby Białarus z Litwinem-Żmudzinem dzielili się cudzym - tobie pół i mnie tyle samo. Jednocześnie zaś, w tym samym woronowskim powiecie, jakieś pięć kilometrów poza granicą litewską egzystuje i jest oznaczona na mapie etnicznie litewska wioska Pogiry (Pagiriai), będąca państwową częścią Litwy poza terytorium „litewskim". A tuż obok - na mapie - niczym nasiąknięty wodą baniak zwisa z północy na południe, wbijając się w teren Białorusi państwowo-litewski, jak go nazywam: worek dziewieniszski (miasteczko Dziewieniszki - w 1944 roku centrum zgrupowania i sztabu „generała Wilka" oraz wileńskich brygad AK, skoncentrowanych tutaj przed „Operacją Ostra Brama"). - A kto jego wie? - jak tutaj mówią i już niczemu się nie dziwią. Obecnie (rok 2000) jechać tam bez przepustki nie można, a nie wiadomo, czy i tam strzegą granicy nasi, jak pod Sopoćkiniami.

Wtedy jechaliśmy przez Raduń, niedaleko od którego znajdują się Surkonty. W Raduniu, jak w całym powiecie, Polacy stanowią grubo ponad 80% mieszkańców. Byliśmy nieco po południu i, o dziwo, czynna była straszna, ale jedyna i pusta knajpa. Aha, Raduń podobnie jak nieodległe Ejszyszki stanowi centrum cygańskie, z tym, że Cyganie w Ejszyszkach, tak jak całe miasto, mówią na co dzień po polsku, a w Raduniu mówi się po prostemu, choć, gdy trzeba, też po rosyjsku lub po polsku. Postawiliśmy nyskę pod większym sklepem (na widoku), bo cały czas snuł się za nami jakiś zaczesany do góry jegomość, i poszliśmy do pustej knajpki. Jegomość wszedł tam po kwadransie i usiadł naprzeciwko po drugiej stronie kiszkowatej salki. Zamówiliśmy. Jegomość rozgadał się z bufetową (dobrzy znajomi), do której w międzyczasie podeszła młoda Cyganka z dużym pudłem, które postawiła na blacie. Za nią wtoczyło się kilkoro różnej płci i wieku innych przedstawicieli ludu Romów. Usiedli pod oknem i wtedy, w sennej sali zaczął się taki rejwach, że widelce zawisły nam w powietrzu. Pudło na blacie bufetu ożyło wrzaskiem kilkudziesięciu małych kurczaków, Cyganka zaczęła wrzeszczeć na Cygana, a do ogólnego wrzasku włączyły się Cyganiątka. Jegomość patrzył na to bez zdziwienia, a bufetowa zajęła się myciem szklanek w zlewie tuż przy tymczasowym i wrzeszczącym kurniku. Szybko i nie bez koniecznej ulgi uregulowaliśmy śmiesznie niską (rok 1992) należność i wyszliśmy. „Jegomość" też.

Raduń sprzed roku pamiętaliśmy właśnie z tej jadłodajni, sympatycznych znajomych (natychmiast się ujawniali) pana Stanisława Pacyny oraz pomnika Pogromców Faszyzmu. Przestały nas już dziwić wszechobecne Leniny (złote), pomniki wyzwolicieli (srebrne) oraz kurhany - strzały (dla partizanów). Teraz wiedzieliśmy, że w Raduniu Armia Czerwona nie zastała żadnych faszystów, bo miasteczko wyzwoliła na długo przed nią Armia Krajowa. Wyzwoliciele z Radunia to ci, którzy padli w boju ze straceńcami ppłk. Kotwicza pod Surkontami, gdzie siły w chwili boju były jak 1 do 10. Na korzyść wyzwolicieli... Wyzwoliciele, tutaj w rzeczywistości aż do 1956 roku - kame oddziały okupacyjne - mają strzały, srebrne obeliski. Zaś chłopcy w Naczy - do poprzedniego roku - chaszcze na cmentarzu, do których w obawie przed donosem nikt blisko nie podchodził. Garstka kobiet na cmentarzu płakała jawnie po raz pierwszy, a pani Anna Mindziul, teraz opiekunka miejsca, recytowała im wiersz: „Idą żołnierze, trąbki im grają, / Krzyże virtuti z piersi błyskają, / A on tam leży w białej koszuli, / Zamiast virtuti, znak ma od kuli... / O mój żołnierzu, chłopcze kochany, / Kładniem modlitwy na Twoje rany, / Może usłyszy w Niebie Panienka, Może od Polski, łzę cisną Tobie..."
I wówczas, i później w trakcie takich spotkań, bez względu na pogodę nosiłem okulary słoneczne...

Raduń krył i nadal kryje jeszcze jedną tragiczną pamiątkę z tamtych dni. Nie wiedzieliśmy wówczas o tym, ale pamiętali miejscowi. W samym centrum, prawie naprzeciwko srebrnych wyzwolicieli, bezpośrednio pod płacykiem i chodnikiem, jak śmietnisko, zasypane zostały szczątki zdradziecko „pojmanych", bestialsko zamordowanych chłopców z tutejszej grupy poakowskiej, spod wioski Piaskowce. Pamiętała jak zwykle pieśń ludu - matek, sióstr i narzeczonych: „Szumi las piaskowski i ta wieś zielona, kędy przechodziła armija czerwona.... / A te nasze chłopcy byli takie głupie, że się zapisali do czerwonej grupy.... / Nieraz wychodzili na wspólną wyprawę, razem jedli kaszę razem pili kawę... / A gdy tutaj przyszli do wioski Piaskowce napadli na śpiących jak wilki na owce..."

Towarzysze broni, spec-grupa NKWD, podszywająca się pod oddział antysowiecki w nocy wymordowała większość ufających im Polaków. Niemal wszystkim poderżnięto gardła.....

W roku 1999, gdy Tadeusz Malewicz wystąpił o ekshumację ofiar, KGB (tylko na Białorusi nadal istnieje) zatrzymało, podjeżdżając tyłem suki pod dom, wskazanego świadka zdarzenia sprzed lat i w tajemnicy zawiozło na posterunek, gdzie sugerowano, iż mordu dokonali Niemcy (których tu nie było od lata 1944, gdy AK opanowała okolicę), a następnie żądało dowodów, że są to szczątki Polaków!

O ziemio w Polsce nie znana i... nie chciana. Pogardliwie przez profanów nazywana ruską...

Pamiętaliśmy jeszcze sklep sportowy (w tych, jak to już wiedzieliśmy z praktyki, bywały niezwykłe gadżety po równie niezwykle śmiesznych cenach), w którym członkowie chóru wykupili trąbki - sygnałówki po 5 rubli. Trąbek nie było. Był natomiast tuż za plecami „Jegomość", ale... wyraźnie się do nas uśmiechający! - Panowie z Polski? Jestem Józef Kirwiel, prezes raduńskiego oddziału Związku Polaków! Zapraszam, jak macie czas do siedziby. - Uff! A już myśleliśmy, że to zupełnie inny „jegomość". Poszliśmy. Tuż za knajpką, stary polski drewniany budynek przychodni dentystycznej. Wewnątrz jedna duża salka, siedziba, a na ścianie, aż nas zatkało: wielki Orzeł Biały, a pod nim dwie skrzyżowane Biało-Czerwone! Zbyszek bez słowa poleciał do nyski i zaczął znosić pudła z odzieżą, Boguś - lekarz też przyniósł pudełka z lekarstwami, acz ździebko niechętnie, bo jeszcze nie byliśmy w Feliksowie. Pan Józef stwierdził, że przejmie cały budynek, jak tylko wstawi

nogę pomiędzy próg a następne drzwi. Odtąd z panem Józkiem (szkolnym kolegą Czesława Niemena - Wydrzyckiego) przyjaźnimy się serdecznie do dzisiaj. Ostatni raz widziałem go, gdy z najmłodszą córką przybył na otwarcie polskiej szkoły w Grodnie.

W swoim domu opowiadał nam o Raduniu, o córce i o tym, jak została Polką. Kto to w Kraju zrozumie? Na Litwie znajomi opowiadali nam taki prawdziwy przypadek: „Wyobraź sobie, ja Polak, żona Litwinka, a urodził nam się ruski!?" - Zdumiony Czytelniku, czytaj dalej... Według sowieckiego prawa każdy szesnastolatek musi mieć dowód osobisty. Wypełniając wniosek deklaruje narodowość. I tu może stać się dosłownie wszystko; od przymusu do własnego wymysłu! Dziecko rodziców Polaków może stać się: Ruskim, Białorusinem, Litwinem, Ukraińcem (Skrobocki przez rok był nawet Jakutem!) - „skolko ugodno!" - Ale mogło być i tak (mam stosowny oryginał zaświadczenia), że „urząd" nie uznawał polskiego pochodzenia rodziców i gdy delikwent mimo to się upierał, w rubryce „narodowość" stawiano po prostu krechę - wykreślano nieboszczyków z wszelkiej narodowości. Kiedy więc szesnastoletnia Irka, pojechała do urzędu w Woronowie, Józef nie poszedł do pracy. Siedział w oknie, gryzł paznokcie i czekał na autobus z rejonu. Panna wróciła, podała paszport blademu ojcu: „masz tobie tato, ja Polka!" Co to się działo! Mimo że od tamtego dnia upłynęły trzy lata, Józkowi (już byliśmy na ty) nadal trzęsły się ręce.

Sprawdziliśmy krzyże w Naczy. Stały, jeden na cmentarzu - w centrum uporządkowanej i wysypanej jasnym piaskiem kwatery, drugi postawiliśmy przy kościele obok kamienia - pomnika (opisanego po białorusku) Powstania Styczniowego. Żegnając się z Józkiem pozostawiliśmy jeszcze kilkanaście par nowych butów od wrocławskiej firmy Marius, a wnuczce (od mamy Polki) dżinsy na szeleczkach.

Boguś wreszcie się rozchmurzył, bo ruszyliśmy w końcu na południe, czyli na Możejkowo, a zatem do Feliksowa. Pochmurnym popołudniem stanęliśmy pod drewnianą chałupą, na której belkowych ścianach od strony kaczego (brr!) podwórka, niczym na wieszakach tkwiły na powbijanych wszędzie gwoździach jakieś garnki, grabie, a nawet podkowy. W sionce czynny telefon marki Radom, a w kuchni klepisko (widziałem pierwszy raz w życiu). W izbie nad czarno-białym telewizorem Ikona. Kuzynka, jak cała wioska, co w lidzkiem, zwłaszcza po prawej, polskiej stronie Niemna, jest niezbyt częste - jest prawosławna. Gdy zastawiono do stołu, Ikonę przykryto czystym ręcznikiem (kieliszki i papierosy). Boguś był w siódmym niebie i obdarowywał kuzynki. Potem mimo deszczu oprowadził nas po wiosce, także po domu, w którym mieszkał jako chłopak, gdy jego ojciec był sekretarzem gminy. Tutaj już w czasie wojny wstąpił do II Batalionu 77. Pułku Piechoty AK. Potem w 1949 roku (nie wykryto jego przynależności) wywieziono go z rodziną do Irkucka. Na miejscu enkawudzista oznajmił im: „wy tut pribyli na wiecznoje posielienije!" - „No to fajnie, będę żył wiecznie" - miał to skwitować Boguś. Chyba nie miał racji. Za to rację miał jego ojciec, mówiąc: „bzdura, wrócimy, u nich nie ma nic trwałego, tym bardziej wiecznego!" I wrócili. Wprawdzie nie do Feliksowa ani Ejszyszek, lecz do Szczecina, ale to już drobiazg w skali historii. Potem on spał w izbie, a my na sianie w stodółce. Rano obudziliśmy się między kurami, bo zjechaliśmy ze stogu. Zbyszek, zawsze w humorze, był już na nogach i chichotał, obserwując, jak dwu kołchoźników piłuje drewniany słup energetyczny. Trwało to około godziny (ścinanie słupa). - Zobacz, zupełnie jak ci partyzanci, co wysadzali pociągi pod Białymstokiem, bo nie wiedzieli, że wojna się skończyła! -

Rano ruszyliśmy do Lidy. Roześmiany pan Stanisław Pacyna, uprzedzony telefonicznie, witał nas na progu. Pogoda była jak drut i wolny cały dzień. Pan Stasiu zarządził: odwiedzimy księdza w Wawiórce, obejrzymy cmentarz lotników i pojedziemy nad Niemen do Bielicy. I tam Boguś kiedyś mieszkał, więc nie marudził. O Wawiórce już była mowa w poprzednich rozdziałach. Cmentarz lotników natomiast, przylegający do totalnie zniszczonego cmentarza katolickiego (na zalecenie komitetu rejonowego partii w połowie lat sześćdziesiątych, komsomolcy i pionierzy z polskich grobów pozyskiwali cenny dla państwa radzieckiego surowiec wtórny - złom, czyli: krzyże, litery, ozdoby, łańcuchy itd. Oczywiście przodownicy byli nagradzani dyplomami! To swoista, ważna polska pamiątka w Lidzie. Pozostały na nim (niszczone, lecz potem przez Polaków odbudowywane) nagrobki i krzyże z 1920 roku oraz późniejsze, a także ośmiometrowy obelisk, ongiś z orłem lotniczym. Orła tego usiłował potajemnie z kolegami odnawiać Kazik Choder (zięć pana Stanisława), lecz trafił za to do kryminału. Resztki komsomolcy rozwalili w czynie społecznym. Podobno trenowali strzelanie do orła (trzy lata temu, w roku 1997, widziałem postrzelany śrutem okrągły emblemat na Krzyżu, który ustawiliśmy w Kuropatach). Przypomnijmy, iż w lidzkiem nienawiść do Polaków podsycała zawsze ich większość oraz trwanie poakowskiego sprzeciwu zbrojnego do 1954 roku! Trochę innego, ale lotniczego orła i z koroną, przywieźliśmy tutaj w następnym roku. Ale to już inna historia.

Pojechaliśmy zatem do Bielicy, miejscowości po prawej, polskiej stronie Niemna. Ongiś miasteczko, obecnie duża nadniemeńska wieś, jest w dalszym ciągu w znacznej mierze polska. Działa w niej nawet oddział ZPB (w 1992 roku jeszcze nie). W latach niemieckiej okupacji była to jedna z ważniejszych baz akowskich, od końca 1943 roku niemal pod całkowitą kontrolą Polaków dozorujących tutejsze niemeńskie brody przed grabieżcami (partizanami) spod znaku czerwonej gwiazdy. Teraz, starym wojskowym ruskim gazikiem wiózł nas i naszego gospodarza zwalisty pan Czesław - jak się okazało żołnierz płk. Mossora i... Świerczewskiego z czasu łun w Bieszczadach. Lepiej nie przytaczać jego opowieści. Może kiedyś sam napisze.

Pachnące żywicą sosny, rozgrzany biały rzeczny piasek, stojące od gorąca powietrze i rześki oddech leniwego Niemna - dobrzy koledzy, kosz wiktuałów od pani Bernadetty i pacynówka... Niemen - jak niemal wszędzie tutaj - jeden brzeg stromy, drugi płaski i szeroko rozlany po leniwym zakolu połyskujący w południe milionami nasłonecznionych zmarszczek. Na prawosławnym, lewym brzegu starodawna puszcza zmierzająca aż ku borom nalibockim, ku katolickiej puszczy Wojskiego - Puszczy Nalibockiej. Tutaj piaszczysta plaża i łagodne nabrzeże. Hasaliśmy po wodzie ze Zbyszkiem jak źrebaki, a doktor Więski brodził po kostki nie reagując na prowokacyjne bryzganie. - Popatrzcie - wskazywał na wężowate ślady tuż pod wodą - to węgorze!.. - Boguś, jakie tam węgorze - kpił Zbyszek - popatrz! I wyciągał pod nos rzeczne małże! „Lida, Lida ja do ciebie ida!" Pan Staś dostojnie nalewał pacynówkę i podawał na zakąskę surowe jajka! - Panie Stanisławie, tu może być salmonella - na wpół serio przeraził się Zbyszek. - Panie Zbyszku, co pan, to m o j e jaja! - zaoponował nasz gospodarz.

Wieczorem na ulicy Gaworowa czekali na nas ksiądz Stanisław, Kazik z Grażynką i... kuchnia pani Bernadetty. Takie to są i dzisiaj Kresy. A rano, ku autentycznemu smutkowi zacnych Lidzian, ruszyliśmy na zachód przez Szczuczyn i Mosty, do Wołkowyska.

Zdzisław J. Winnicki

Odsłonięcie pomnika w Czerwieni

W Czerwieni k. Mińska 25 czerwca br. odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika w rocznicę „marszu śmierci", czyli pieszej ewakuacji więźniów z Mińska do Czerwieni w czerwcu 1941 roku. Inicjatorką upamiętnienia pomordowanych Polaków, Litwinów i Białorusinów - więźniów politycznych, osadzonych za udział w tajnych związkach czy przedwojennych polskich stowarzyszeniach - była p. Joanna Januszczak, autorka książki pt. „Marsz śmierci Mińsk - Czerwień 24-27 czerwca 1941 r." (zob. Biuletyn nr 9/1999).

Pomnik ma formę przydrożnej drewnianej kapliczki, przedstawiającej Matkę Boską Bolesną z Chrystusem, z napisem w języku polskim "Pamięci Polaków pomordowanych 27 czerwca 1941 r." u podstawy. Jego autorem jest Genadź Matusewicz - białoruski rzeźbiarz polskiego pochodzenia. Poświęcenia pomnika dokonał ks. Władysław Szyszko z kościoła pw. św. Szymona i św. Heleny w Mińsku oraz odmówił modlitwy za poległych. Pomnik powstał dzięki zaangażowaniu p. Ewy Ziółkowskiej z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz prof. Andrzeja Stelmachowskiego - prezesa Stowarzyszenia "Wspólnota Polska".

Joanna Januszczak przy pomniku w Czerwieni

Ruy Wachowicz - pożegnanie

Profesora Ruy Wachowicza poznałam osobiście zaledwie przed rokiem, podczas mojego pobytu w Brazylii, choć jego osoba znana mi była, jak każdemu badaczowi procesów imigracyjnych, z licznych publikacji poświęconych historii polskich skupisk w Brazylii. Później miałam jeszcze okazję rozmawiać z nim kilka razy, nagrałam też niektóre z tych rozmów, z zamiarem poświęcenia dorobkowi naukowca oddzielnej publikacji. Teraz, gdy dotarła do mnie wiadomość o śmierci Ruy Wachowicza, ledwie zdolna uwierzyć w tą bolesną prawdę, sięgnęłam do posiadanych materiałów i zdjęć, by jeszcze raz wsłuchać się w jego refleksje o tym, jaką drogę musieli przejść polscy chłopi w Brazylii przez minione 130 lat.

Wybitny historyk, profesor Uniwersytetu Federalnego w Paranie, urodził się 26 maja 1939 roku w Itaiopolis w stanie Santa Catarina. Jednak większość swego życia spędził w Paranie, której historii poświęcił stronice wielokrotnie wznawianej książki. Wywodził się z rodziny Wachowiczów, znanej ze swego oddania i pracy dla polskiej imigracji. Jego ojciec, Roman Wachowicz, krzewił oświatę w środowisku polonijnym i pozostawił po sobie wiele tekstów opisujących polską sagę w Brazylii. Dorobek ten ukazują materiały i pamiątki zgromadzone w muzeum „Memorial Polskiej Imigracji - Park im. Romana Wachowicza". Otwarto je w 1995 roku w Araucarii i zlokalizowano na terenach dawnej posiadłości polskich kolonistów z Tomas Coelho. To jakby przesłanie dla potomnych, że pisarza wiązała z Polakami wspólnota dziejów, pracy i języka.

Syn był już trzecim pokoleniem zrodzonym na ziemi brazylijskiej i pisał w języku portugalskim. Odebrał staranne wykształcenie na Uniwersytecie Federalnym Parany w Kurytybie. Rodzina mieszkała wtedy w Araucaria. Z miasteczka do Kurytyby prowadziła zaledwie bita droga. Toteż wspominał profesor - „Kiedy padał deszcz, droga zamieniała się w nieprzejezdne błoto i trudno było dotrzeć na uniwersytet. A proszę popatrzeć teraz, jakimi dobrymi drogami jeździ się z Araucarii dzisiaj. W Brazylii - konkludował - co 30-40 lat zachodzą bardzo poważne zmiany jakościowe. Brazylia to kraj, który cały czas się rozwija". Odwołanie się do drogi, jako symbolu postępu, było zarazem syntetycznym ujęciem procesu ewolucji skupisk polskich w Brazylii - rozmieszczanych w interiorze wzdłuż wytyczanych linii, dopiero wraz z postępem połączonych ze światem drogami.

Profesor badał ten proces nieustannie. Zamiłowania historyczne rozbudził w nim ojciec, a zainteresowanie polską imigracją zawdzięczał też po części, jak sam przyznawał, zgromadzonym przez ojca niemałym zbiorom. Stykał się z nimi w domu rodzinnym od zarania. Wcześnie też rozwinął własne badania. Rozpoczął od przygotowania studium historyczno-demograficznego Abranches (Curitiba 1976), położonego na wzgórzach siedliska polskiego sprzed 130 lat, włączonego obecnie w obręb metropolii parańskiej. Dalej ukazały się kolejne monografie kolonii polskich: Orleans - w stulecie przetrwania (Curitiba 1976) i o społeczności wiejskiej Tomas Coelho (Curitiba 1977). Szczególne miejsce zajmuje publikacja o polskich chłopach w Brazylii: „O campones polones no Brasil" (Curitiba 1981) Było też wiele innych prac, które pozwoliły badaczowi śledzić, jak historycznie przebiegał proces awansu społecznego polskich imigrantów w Brazylii. Nie widział go w różowych barwach, choć doceniał wkład polskich imigrantów i ich wytrwałość. Wskazywał na wiele czynników hamujących ten awans, co w efekcie spowodowało, że Polacy zajmowali niższą pozycję od innych grup. W naszej rozmowie wyliczył kilka z tych czynników. Niektóre z nich chciałabym przytoczyć w tym miejscu.

Profesor podkreślał, że o pozycji polskiej grupy w Brazylii decydował w dużym stopniu status społeczny, jaki wyniosła z Europy. Wielka Emigracja Europejska stanowiła punkt zwrotny w historii Brazylii. Jej pojawienie się było w dużym stopniu efektem zniesienia niewolnictwa i dążenia do tworzenia podwalin gospodarki kapitalistycznej w Brazylii. Miała ona też istotne znaczenie społeczne. Prowadziła do większego zróżnicowania etniczno-kulturowego. Tymczasem imigranci napływający w XIX wieku z Europy odtwarzali w Brazylii status społeczny narodów ze starego kontynentu. A kim był chłop polski w Europie? - zapytywał. Tak zróżnicowany społecznie strumień imigracyjny wciskał się w społeczeństwo brazylijskie i budował swój późniejszy byt. Moment startu był więc bardzo ważny i w dużej mierze przesądzał o późniejszej drodze.

Badacz odniósł się również do europejskich powiązań dynastycznych, które pośrednio mogły przyczyniać się do szybszego awansu niektórych grup narodowościowych. Dwór portugalski miał np. kontakty z Habsburgami. Bywało, że Niemcy otrzymywali większą pomoc, która pozwalała im na szybsze zagospodarowanie się w nowym miejscu. Jako ważny czyn-

nik awansu. Ruy Wachowicz uważał także współpracę ekonomiczną kraju pochodzenia z krajem osiedlenia imigrantów. W przypadku Polski, historycznie biorąc, nie była ona znacząca. Profesor odwoływał się tutaj do przykładu Japończyków. Obie grupy nie różniły się zbytnio swym statusem materialnym i społecznym w momencie przybycia do Brazylii. Jednak ojczyzna Japończyków utrzymywała kontakty gospodarcze z Brazylią, co pomagało im uzyskać lepszą pozycję w nowym kraju. Rozbieżność w statusie między obu grupami widoczna jest w czasach obecnych.

Sądzę, że jedną z ciekawszych myśli sformułował profesor, odnosząc się do swoich planów naukowych napisania rozprawy o nieziszczonym projekcie polskich elit politycznych zbudowania w Brazylii Nowej Polski. Elity te - zdaniem naukowca - zainteresowane były bardziej realizacją swoich zamiarów niż niesieniem pomocy polskim imigrantom, aby wrastali w nowe społeczeństwo. Podstawą działań tych emisariuszy było naciskanie na polskich imigrantów, by pozostawali w polskości i się nie integrowali. Było to - ich zdaniem - niezbędne dla legitymacji politycznej idei utworzenia wydzielonego terytorium w oparciu o polską ludność w Paranie. Projekt był pozbawiony realizmu i w efekcie przyhamował proces awansu grupy polskiej w społeczeństwie brazylijskim.

W naszej rozmowie naukowiec zwrócił się także ku przyszłości, kiedy pytałam go o opinie na temat perspektyw zachowania dziedzictwa kulturowego przez kolejne generacje. Konsekwentnie podkreślał rolę stosunków ekonomicznych z krajem pochodzenia. Rozwinięcie ich uważał za niezbędne dla pobudzenia większego zainteresowania Polską. Musi być także kontakt ze współczesną kulturą, bo inaczej pozostanie tu jedynie - jak się wyraził - kultura ludowa i folklor, a to stanie się raczej przedmiotem badań antropologii niż socjologii.

Czy grupa polska zyskała na wprowadzeniu w 1988 roku konstytucji Brazylii gwarantującej prawo do zachowania dziedzictwa kulturowego? - zwracałam się do profesora, kontynuując rozmowę. Mój rozmówca potwierdził to. Pomogła jej w tym BRASPOL. Zaczęto wyzbywać się kompleksów. Polacy nie wstydzą się teraz mówić po polsku. Profesor również kończył rozmowę ze mną już w języku polskim.

Był dumny, że był polskiego pochodzenia. Wymienił wiele powodów, ale dwa z nich wydawały mi się bardzo znamienne. Czerpał swą satysfakcję stąd, że był potomkiem tych, którzy mieli tyle siły i samozaparcia, by przetrwać trudy kolonizacji i przyczynić się do zagospodarowania ziemi brazylijskiej. Ponadto, podkreślał, że wywodzi się z kręgu cywilizacji europejskiej, która stanowi jeden z ważnych składników kultury brazylijskiej.

Był też dumny, że jest Brazylijczykiem, reprezentantem narodu, który nie ma uprzedzeń do koloru skóry, jest tolerancyjny wobec innych i ma pozytywne nastawienie do rzeczywistości. „Jutro może być lepiej" - żartował. Nie zauważał w swym optymizmie, że kiedyś dla niego może przedwcześnie zabraknąć tego jutra..... Moment ten nadszedł 19 sierpnia 2000 roku.

Elżbieta Budakowska

„Polonium" i marzenia

Rok 2000 jest rokiem jubileuszowym dla Chóru Męskiego „Polonium" z Lyonu, o którym wspominaliśmy w numerze 2/99. W niedzielę 7 maja w salach Konsulatu Generalnego RP odbył się koncert dziesięciolecia Chóru, a jego szef i twórca Stanisław Rypień przyjął z rąk konsula Romana Jankowiaka Odznakę Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Miłymi naszym sercom brawami przyjęto też inny dowód uznania - dyplom „Wspólnoty Polskiej", przesłany przez prezesa Stowarzyszenia, prof. Andrzeja Stelmachowskiego. Wspaniały koncert, w którym polskiemu chórowi towarzyszyła zaprzyjaźniona grupa „Trotwood", czyli Francuzi zauroczeni folklorem irlandzkim, z pewnością zapisał się w pamięci tak publiczności, jak mieszkańców okolicy. W którąś z sobót, a więc w dzień teoretycznie odpoczynkowy, udało mi się z St. Rypieniem porozmawiać - znalazłam mistrza za kierownicą zaparkowanego citroena, pochylonego nad papierem nutowym i najwyraźniej zapisującego nową kompozycję...

...i to jest najlepszy dowód zasłużenia dla kultury polskiej. Skąd więc „Trotwood" i jego celtyckie piosenki?

A to było tak: w 1997 roku, jadąc do Polski z chórem i orkiestrą szkoły muzycznej z St. Maurice de Beynost, zabrałem grupę „Trotwood" ze sobą. Mieliśmy koncerty w Białymstoku, w Warszawie, Częstochowie - oczywiście ostatni koncert odbył się w moich stronach rodzinnych, w Żywcu. Wrócili oczarowani Polską i kulturą muzyczną naszej publiczności - i doszli do wniosku, że trzeba by coś razem zrobić. „Trotwood" jest grupą rodzinną, jest wśród nich dwóch profesorów fortepianu - pracujemy w jednej szkole muzycznej. W końcu więc zaprosiłem nasz chór „Polonium", przygotowaliśmy wspólny koncert. A potem zaczęliśmy myśleć o wydaniu wspólnej płyty, wybierając polskie kolędy. Dałem im nuty, zrobili aranżację - wydaliśmy płytę, tysiąc egzemplarzy. Rozeszła się już całkowicie, a sprzedajemy przecież tylko przy okazji koncertów. Od tego czasu koncertujemy też razem - my wystąpiliśmy u nich w St. Étienne, oni przyjeżdżają do Lyonu.

Stanisław Rypień - zasłużony dla kultury polskiej
fot. A. Panecka

A skąd?

Kupili sobie zamek koło St. Étienne, i cała rodzina Petiet tam mieszka, czyli Jean Christophe z żoną i jego rodzice. Zamczysko jest potężne, ale naruszone przez czas - kupili je praktycznie za cenę domku jednorodzinnego, ale sam remont dachu będzie kosztował tyle co dom. Mniejsza o to, atmosfera jest... Oni kochają Irlandię, spędzili tam dziesięć lat, teraz jeżdżą przynajmniej cztery razy do roku, spędzają tam dwa miesiące letnich wakacji.... A w ciągu roku dają trzy koncerty tygodniowo, wydali już dziesięć płyt - z nami występują może z dziesięć razy rocznie.

Aż szkoda, świetnie razem brzmicie. Słyszałam, że odnieśliście ostatnio wielki sukces na Festiwalu w Bazylice Fourvière...

Ostatnio mieliśmy dobrą passę - koncert kolęd polskich w Oullins, tam gdzie pracuję, pięć kilometrów od Lyonu, bardzo udany - przyszło sześćset osób, pełen kościół! Śpiewaliśmy też, oczywiście, kolędy irlandzkie, włączyłem też do programu chórek dziecięcy, który prowadzę - był to naprawdę znakomity koncert.

A z Fourvière to było tak: w ubiegłym roku byliśmy w Rzymie, mieliśmy też audiencję prywatną u Papieża. Po rzymskim koncercie zadzwonił do mnie Christian Wagner, emerytowany profesor Konserwatorium w Lyonie, którego skądinąd znam, i zaproponował występ na Grand Festival w Bazylice Fourvière. A to jest festiwal międzynarodowy w bardzo dobrej obsadzie, znakomite chóry tam śpiewają. I bez żadnych przesłuchań, które zwykle się odbywają, z pełnym zaufaniem, zaprosił nas do udziału. Zaśpiewaliśmy, mimo że to był kwiecień, kilka polskich kolęd, a potem repertuar ludowy, przede wszystkim muzykę Podhala. Towarzyszył nam „Trotwood" - to połączenie muzyki polskiej i celtyckiej rzeczywiście zostało znakomicie przyjęte przez publiczność.

Porzućmy Celtów i ich muzykę - powiedzmy, jak z grupy amatorów, którzy nigdy nie śpiewali, powstaje profesjonalny właściwie chór?

Ha! Najważniejsze jest to, że lubią śpiewać. Kiedy zaczynaliśmy w 1990 roku, było to śpiewanie w jednogłosie, i to jeszcze nieczysto czasami. Ale dziesięć lat robi swoje - ćwiczymy raz w tygodniu, przed koncertami dwa razy w tygodniu nawet...

Nawet?

No tak, przecież wszyscy pracują. Ale teraz chór ma całkiem przyzwoity poziom.

Skromność - czy asekuracja, żeby się, pochwaleni, nie rozleniwili?

No dobrze - naprawdę jestem zadowolony. Na początku, kiedy mówiłem o technice wokalnej, wszyscy patrzyli na mnie ze zdziwieniem, „czego on od nas chce?!". A teraz - proszę bardzo, ćwiczymy. Połknęli bakcyla po prostu, śpiewają z sercem. A przy tym wszyscy dobrze się bawimy, co też jest ważne. Próba chóru jest też spotkaniem koleżeńskim, co nas wszystkich cieszy, a mnie chyba najbardziej.

Więc proszę o krótką opowieść o Góralu, który zamienił Żywiec na Lyon, i o tym, co robi we francuskiej szkole muzycznej.

Ale to chyba nie jest takie ważne? ... Jestem we Francji od szesnastu lat, od 1990 roku uczę muzyki w collèges w Oullins, w szkole muzycznej w St. Maurice de Beynost uczę techniki wokalnej i prowadzę chóry. Zajmuję się też sprowadzaniem chórów z Polski na zasadzie wymiany, zwłaszcza z St. Maurice, które kilkakrotnie już zapraszało np. chór „Cantica Cantamus" z Białegostoku. Wystawiliśmy wspólnie, na przykład, „Requiem" Mozarta z udziałem orkiestry lyońskiej i solistów - ja śpiewałem partię basów, a z Polski przyjechali z Białegostoku tenor, Michał Zambrzycki i sopran, Violetta Bielecka, która wykłada w warszawskiej Akademii Muzycznej. Gościliśmy m.in. chór z Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Częstochowy, gdzie i ja się kształciłem, a także „Poznańskie Słowiki". Kilkakrotnie też, z Jean Christophem Petiet i pięćdziesięcioma muzykami jeździliśmy na koncerty do Anglii, mieliśmy tournée europejskie, odwiedziliśmy Czechy, Niemcy i Polskę.

A kiedy „Polonium" przyjedzie do Polski?

A tego nie wiem. Ja byłem dwa razy na Festiwalu Chórów w Koszalinie, i oczywiście chciałem, by pojechało tam „Polonium". I na początku wszyscy się wybierali. Ale po miesiącu okazało się, że dwóch panów jechać nie może, na dwa tygodnie przed wyjazdem już pięciu nie jedzie - a nas jest tylko osiemnastu. Bardzo bym chciał, żeby nam się kiedyś udało dojechać na festiwal, to jest moje marzenie. Ale że wszyscy pracują, mają obowiązki rodzinne - trudno ich zebrać w jednym terminie, wyjechać na dłużej. Kilka marzeń już mi się ziściło - udział w Festiwalu na Fourvière, audiencja u Ojca Świętego - więc może i do Koszalina kiedyś dojedziemy. Może też w tym roku wydamy płytę z folklorem góralskim - Jean Christophe już nalega...

A ja czekam - i dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Agnieszka Panecka

O przyjaźni francusko-polskiej

Na początku było - śmiesznie. „No to spotykamy się w Tulonie..." - ja się nie wybieram. Po paru miesiącach znów dowiaduję się przypadkiem, że jestem oczekiwana na majowej uroczystości w Tulonie... W końcu udało się uzgodnić terminy i stanowiska, biorę udział w wielkim święcie Polonii departamentu Var. Sala jest pełna - dwieście, może trzysta osób: dzieci i młodzież, kombatanci, członkowie i sympatycy Amicale Franco-Polonaise du Var, członkowie francuskiej ekipy wyświetlanego w okolicy i żywo dyskutowanego filmu „Pologne éternelle", niewysoki pan z błyskiem w oku: „Ja jestem z Paryża, spędzam wakacje tu niedaleko. To moja książka - jestem pierwowzorem „Kolumba", nazywam się Stanisław Likiernik"... Urocza pani w krakowskim stroju uśmiecha się promiennie: „Byłam studentką waszego prezesa, ale na pewno mnie nie pamięta, tylu ich miał..." Andrzej Zamojski, wydawca „La Depeche de Varsovie" zastępuje tom „Who is who", pan Tadeusz Piotrowski, nieco zdenerwowany, szuka flag kombatanckich, które znikły z jego pola widzenia po nabożeństwie, wnuczki pani Marii Hołdakowskiej Gomes Coelho (znanej wszystkim jako pani Marysha) są już gotowe podjąć swe obowiązki u boku konsula generalnego RP w Lyonie, R. Jankowiaka. Dekoruje on w imieniu Rzeczypospolitej Krzyżami Kawalerskimi

Orderu Zasługi RP p. Tadeusza Piotrowskiego, w 1982 roku założyciela, a od 16 lat prezesa Amicale Franco-Polonaise du Var, wiceprezes, niezwykle zasłużoną w pracy na rzecz promocji kultury polskiej p. Marię Hołdakowską Gomes oraz p. Adele Jeanne Piotrowski, skarbnika Amicalu od lat 16, która, choć Włoszka, niestrudzenie pracuje u boku męża na rzecz Polaków i spraw polskich. Głos zabiera wielu przyjaciół i współpracowników, kwiatów jest moc, państwo Piotrowscy mają w oczach łzy wzruszenia, potem jest mniej oficjalnie, gwar powitań walczy o lepsze z pieśnią chóralną, która niesie się z drugiego końca sali. Pan, który namawia mnie na tartinki, mruga porozumiewawczo i zwierza się, że mając żonę Polkę chętnie pomaga przy takich okazjach; to William Soulie, mąż pani Marysi. Energiczny pan z gitarą, który pod sceną organizuje chór rewelersów, okazuje się być mężem pani Teresy, Januszem Karbowskim. Przyjechali z Wrocławia, on ma Lwów „za plecami", wspaniały głos i szacunek ogółu, okazuje się bowiem wybitnym naukowcem cenionym we Francji. Kilka osób podkreśla, że ma rządową posadę i najprawdopodobniej będzie kiedyś liderem tego środowiska. Jest ono stosunkowo liczne, rozrzucone po okolicznych miejscowościach wybrzeża. Tulońskie centrum życia polonijnego to kościół St. Vincent de Paul, w którym polskie Msze św. odprawia dojeżdżający z Aix ks. Ryszard Biernat i siedziba Amicalu - mieszczące się nieopodal kościoła dwupokojowe mieszkanie z biblioteką, w której Maria Hołdakowska przechowuje m.in. „białe kruki", wśród nich wydania pochodzące z Drukarni Polowej II Korpusu. Ona też, wspólnie z Jeanem Vauriot, organizuje koncerty i recitale chopinowskie, projekcje filmowe, wystawy, słowem - odpowiada za sprawy szeroko pojętej kultury w działalności Amicale Franco-Polonaise. W siedzibie Amicalu odbywają się też kursy języka polskiego, a prelekcje poświęcone naszej literaturze lub historii wygłasza najczęściej znawca tematu, p. Georges-Henri Guittard. O Amicalu - czyli „naszej Przyjaźni", jak ładnie napisano na drzwiach siedziby stowarzyszenia - i nie tylko o nim, rozmawiamy z panem Tadeuszem Piotrowskim późną nocą, w porze, która nie znajduje aprobaty zatroskanej o Jego zdrowie małżonki:

Panie Tadeuszu, od osiemnastu lat jest Pan związany z Amicalem, ale, o ile wiem, jest Pan we Francji znacznie, znacznie dłużej - jak się Pan tu znalazł?

To było tak: w trzydziestym ósmym roku mama moja chciała, żebym został księdzem. Nas było dwanaścioro, ojciec zmarł, gdy miałem cztery lata. Po roku szkoły na wsi przeniesiono mnie do Kalisza, do szkoły u zakonnic, mama szczęśliwa była, że najmłodszy syn zostanie księdzem. Ale mama zmarła w lutym 1939, bardzo cierpiałem, pojechałem na wakacje, bo tam przecież było gospodarstwo, prawie pięćdziesiąt hektarów. We wrześniu wybuchła wojna - miałem niecałe piętnaście lat. Mój brat Józef był oficerem, bronił Warszawy - po jej upadku wrócił piechotą. I, o czym nie wiedziałem, był w konspiracji. Dopiero w latach sześćdziesiątych dowiedziałem się, dlaczego kazał mi nosić zawsze po trzy kury, zawsze pod te same dwa adresy w Kaliszu - bo ja wolałem być w Kaliszu i tylko chodziłem na wieś do brata. I wcale nie wiedziałem, że przenoszę wiadomości.

W kwietniu 1940 roku wywieźli mnie do Niemiec na roboty - trafiłem do Dortmundu, skąd mnie wziął jakiś gospodarz. Ale ja chciałem do Polski - po jakiś dwóch latach uciekłem. I doszedłem aż do Ostrowa Wielkopolskiego. Domu już nie miałem, bo Niemcy zabrali - i w efekcie trafiłem nad granicę belgijską, gdzie przez sześć miesięcy kazali mi kopać rowy przeciwczołgowe. Różne rzeczy się działy, znów próbowałem ucieczki, korzystając z ciemności - w końcu wróciłem do tego Wolfa, bauera, i tam wyzwolili mnie Amerykanie. Myślałem, że wrócę do kraju, że będę może listonoszem. Ale zamiast do Polski, powieźli nas w przeciwną stronę, aż do Brukseli. Przy końcu kwietnia już byłem w Wojsku Polskim - komisja w Lille orzekła „chudy, ale zdrowy". W Armii Generała Andersa spotkałem żołnierzy! - tych, co się pod Tobrukiem bili. Dwa lata byłem w Armii, w 1947 mnie zdemobilizowano. W międzyczasie trafiłem do Tulonu, do kompanii wartowniczej. Poznałem tu pierwszą żonę, więc po demobilizacji tu wróciłem - bez języka, bez zawodu, za to żonaty... Szczęśliwy byłem, kiedy dzięki przypadkowo spotkanemu warszawiakowi dostałem pracę pomocnika cieśli. W pięćdziesiątym roku dostałem obywatelstwo francuskie. Potem opuściłem stocznię i pracowałem w budownictwie - w sumie trzydzieści sześć lat. I całe życie starałem się, aby nie być gorszym od innych.

A jaka była geneza powołania stowarzyszenia Amicale?

Kiedy w Polsce wybuchł stan wojenny, zadzwoniłem do młodej pary - Barbary Winter, pochodzącej z Łodzi i jej męża, Gerarda Langendorfów. W Tulonie zaczęły się manifestacje Solidarności - skrzyknęliśmy się, poszliśmy do księdza do kościoła. I myślimy, jak możemy pomóc. Chcieliśmy, by odprawił Mszę za Polskę - no bo co tu można zrobić... Kościół był pełen, ludzie stali na dworze - Polacy i Francuzi. I zaczęli nam dawać pieniądze dla Polski. Więc trzeba było stworzyć biuro, dać nazwę, wydawać pokwitowania. I tak powstało Amicale Franco-Polonaise du Var.

Słyszałam, że ten spontaniczny zryw przekształcił się w długoletnią pomoc humanitarną dla Polski, że wysyłaliście całe transporty leków?

Początkowo, kiedy jeszcze pracowałem, woziłem nasze dary do księdza Lasoka w Marsylii. Po moim przejściu na emeryturę wysyłaliśmy już transporty z Tulonu. Dyrektor katolickiej szkoły im. Ojca Świętego Jana XXIII dał nam salę. Po dwóch miesiącach wysyłaliśmy pierwszy transport, nie bez kłopotów, bo na przykład na przewiezienie cukru trzeba było mieć różne pozwolenia. Pierwsza ciężarówka pojechała do Kalisza, następne do Wrocławia, Poznania, Lublina, Włocławka, Torunia, Łodzi, Krakowa, Rzeszowa...Tych transportów było w sumie czterdzieści, w każdym dwadzieścia ton.

Z kroniki tych transportów wynika, że jeszcze w 1997 roku wysłaliście Państwo ciężarówkę darów do Zielonej Góry. Podobno Pańska żona wyspecjalizowała się w zdobywaniu leków?

Niech mi Pani wierzy, wszystko to było dzięki mojej żonie. Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do Polski w sześćdziesiątym roku - bieda była - nic sobie nie kupowała potem, tylko te paczki wysyłała. Jak tu przyjeżdżali Polacy, oczywiście pomagaliśmy im, podpisywali zaproszenia, gwarantowali na policji, że bierzemy za nich odpowiedzialność. Myśmy też jeździli do Polski - i za każdym razem przywoziłem kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, którą potem w imieniu Amicale ofiarowywaliśmy parafiom, które pomagały w naszej akcji dla Polski. To była zawsze uroczystość z poświęceniem obrazu, procesją, często z udziałem biskupa.

Tadeusz Piotrowski - prezes Amicale Franco-Polonaise du Var *fot. A. Panecka*

Mówimy o Amicale i jego dokonaniach - jak liczne jest stowarzyszenie?

Mamy 150 członków - 120 mieszka w Tulonie i okolicach, pozostali nieco dalej.

Pięć lat temu otworzyliśmy Centrum Kulturalne. Też z tym było trochę kłopotu, ale wreszcie nam ten lokal dali. Zrobiliśmy zebranie, a że wiedziałem, że Marysia Gomes i Jean Vauriot nadają się do takiej roboty, powierzyliśmy im prowadzenie Centrum Kulturalnego. I tak się w tę pracę oboje zaangażowali, że prawie zapomnieli o naszym Amicalu, o jego humanitarnych celach - tylko kulturę widzą, zakochali się w tym Centrum.

To dobrze przecież, że z zamiłowaniem pracują...

No tak, ale Amicale to Amicale, trzeba też pamiętać o tym, co zrobiliśmy w przeszłości. Vauriot jest mi jak brat, znamy się już bardzo długo - ale jego też kultura najbardziej interesuje. A trzeba zaspokajać potrzeby wszystkich.

I tak chyba jest - był czas pomocy społecznej, teraz słyszę, że Rok Chopinowski przygotowany przez Amicale du Var był sukcesem.

Pracowali nad jego programem wszyscy - i państwo Zamojscy, i Marysia Gomes, Jean Vauriot...Nawiązali kontakty w tulońskim konserwatorium, w Warszawie, pomógł nam konsulat w Lyonie, „Wspólnota Polska". I warto było, pisała o tych koncertach francuska prasa, Francuzi chwalili. Widzi Pani, mówimy już o koncertach, a nie powiedziałem o tych wszystkich ludziach - kombatantach, lekarzach, którzy pomagali nam ładować ciężarówki, często nocami. Jak mówią we Francji - trzeba pamiętać nie tylko o generale, ale i o kapralach.

O, zdajemy sobie sprawę, że za każdym takim transportem kryła się ofiarność wielu ludzi. Panie Tadeuszu, dziękuję za rozmowę i wspomnienia.

rozmawiała Agnieszka Panecka

Kolumb - rocznik 23

rozmowa ze Stanisławem Likiernikiem

Ze Stanisławem Likiernikiem spotkałem się w jednej z wakacyjnych rezydencji, Sanary sur Mer - malowniczej miejscowości francuskiego wybrzeża Morza Śródziemnego. Wakacyjny był też i nastrój naszego spotkania - było słoneczne popołudnie, siedzieliśmy na tarasie, rozmawialiśmy, piliśmy coca-colę i jedliśmy czereśnie... Tematem naszej rozmowy było życie jednego z pierwowzorów literackich „Kolumba" z powieści Romana Bratnego „Kolumbowie - rocznik 20" - życie mojego rozmówcy. Wspomnienia, dowcipne refleksje, mgiełka nostalgii, rzeczywistość, poczucie upływającego czasu, zdarzeń i osób. Chwila była piękna...

Jest Pan jednym z pierwowzorów literackich „Kolumba" - legendy wojennego i powojennego pokolenia Polaków. Niestety, nie jest Pan znany czytelnikom powieści. Być może Roman Bratny nie mógł w tamtych, komunistycznych czasach mówić o prawdziwych bohaterach książki. Co więcej Likiernik - „Kolumb" żył we Francji, po drugiej stronie żelaznej kurtyny.

"Kolumbowie" są powieścią, której bohaterowie to moi koledzy z konspiracji i powstania. Osoby te są w książce czytelne - rozpoznawalne przez mnie i przez to właśnie grono. Pierwowzorami „Kolumba" byliśmy ja i Krzysztof Sobieszczański, który miał właśnie pseudonim „Kolumb". Mój brzmiał „Stach". „Kolumbowie" nie są naszą biografią. Są powieścią, mają literackie prawo do fikcji, wymieszania prawdy z obrazami wyobraźni autora, jednym słowem - licentia poetica.

Książka Romana Bratnego była pierwszą powieścią na tematy AK-owskie, jaka ukazała się w Polsce, co było wtedy zupełnie wyjątkowe. Moi przyjaciele w kraju i ja byliśmy szczęśliwi, bo nareszcie była książka mówiąca o naszym konspiracyjnym środowisku, o nas samych. Czekaliśmy na nią i po jej ukazaniu nikt z nas nie myślał o przedstawieniu czytelnikom pierwowzorów jej bohaterów.

Z książką „Kolumbowie" wiąże mnie nie tylko osoba głównego bohatera, ale i pewne osobiste wydarzenie. „Kolumbów" dostałem w przeddzień narodzin mojego syna. Trzy wolne dni, które wziąłem, by być razem z żoną, spędziłem w klinice na czytaniu. Żona do dzisiaj nie może mi wybaczyć, że zamiast zajmować się nią i małym, czytałem.

Czy dzisiaj jest Pan rozpoznawalny tylko dla wąskiego grona osób pasjonujących się polskim ruchem oporu, czy może również dla np. uczniów szkoły średniej w Leżajsku?

Nie, na pewno nikt nie zna mnie i moich przyjaciół. Jak już mówiłem, Roman Bratny pisząc powieść nie miał obowiązku przedstawiania swych konspiracyjnych kolegów: Olka Tyrawskiego, Witolda Zalewskiego, Zygmunta Zabieżowskiego, Krzysztofa Sobieszczańskiego i mnie. Są to postaci powieści i ja mogę powiedzieć „kto jest kto", ale w książce nie są oddani dokładnie - są to już postaci literackie.

Tylko raz poczułem, że znalazłem się wśród ludzi znających moją konspiracyjną przeszłość. To było trzynaście lat po wojnie, gdy po raz pierwszy przyjechałem do kraju - po polskiej stronie mostu granicznego w Cieszynie czekało na mnie trzydziestu moich przyjaciół. Doznałem wtedy wielkich emocji, bo przyjechałem do Polski - kraju mojej młodości - z Francji, gdzie nikt mnie nie znał i gdzie byłem niezadowolony z pracy. Podczas spotkań u znajomych, a było to niedługo po ukazaniu się książki, przedstawiano mnie; „To jest „Kolumb". Dobrze pamiętam tamte chwile.

Wydaje mi się, że dzisiaj krąg osób znających moje okupacyjne i powstaniowe przeżycia jest dużo mniejszy. Mimo, iż w 1994 r. „Czytelnik" wydał moją książkę - wspomnienia zatytułowane „Diabelne szczęście czy palec Boży?" Jej kampania reklamowa była chybiona - ograniczyła się do jednego wywiadu w telewizji, i to na sześć miesięcy przed jej wydaniem. Tak więc książka rozeszła się tylko w nakładzie 3000 egzemplarzy. Przeprowadzono ze mną wywiad w Radio „Zet" i ukazał się mój jeden artykuł w „Rzeczpospolitej". Mam wrażenie, że to wszystko „rozmyło się" wraz z upływem czasu...

Tak, żyjemy już w innej epoce - to, co kiedyś było zakazane, dzisiaj jest już banalne. Pańskie wspomnienia, choć są pasjonującą relacją z tamtego czasu, pięknie utrwalającą się w naszej pamięci, nie są książką pokolenia, tak ja byli nią „Kolumbowie". Powstały zbyt późno. Dlaczego nie napisał ich Pan wcześniej, kiedy to dla wojennej emigracji i dla ludzi w Polsce Armia Krajowa i Powstanie Warszawskie były często tematami życia?

Kiedy osiadłem we Francji i założyłem rodzinę, miałem obowiązki związane z pracą oraz wychowaniem dzieci. Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, by spisać swoje wspomnienia. Chociaż zaraz po wojnie stryjeczny brat mojego ojca, Antoni Likiernik - też członek AK, chemik, który w czasie okupacji fabrykował materiały wybuchowe - zachęcał mnie do napisania autobiografii. Zaczynałem ją pisać, ale mi nie szło... Może dlatego, że nie żyłem ciągle tym okresem, tak jak ludzie w Polsce. W środowisku polonijnym we Francji nie było atmosfery życia przeszłością. Żyłem życiem normalnym. Roman Bratny napisał „Kolumbów - rocznik 20" i to mi wystarczyło.

Odblokowałem się dopiero w 1978 roku. Proszony i zachęcany przez syna i córkę, która ze swoją przyjaciółką ofiarowała mi gruby kajet, zacząłem spisywać swe wspomnienia,

poczynając od dzieciństwa. I to mi zasmakowało. Ten okres życia, do wojny, spisałem jednym ciągiem - raz, dwa, trzy. Potem nastąpił kryzys. To, co wydawało mi się najciekawsze - konspiracja i powstanie warszawskie - nie było przyjemne. Nie mogłem tego z siebie wydobyć. Dałem spokój.
Na początku lat dziewięćdziesiątych dowiedziałem się od lekarza, że powinienem się poddać operacji. On był bardziej przejęty niż ja - uważałem, że co by się nie stało, to ja już młodo nie umrę i nie zgodziłem się na operację. Było to jednak dla mnie swoiste memento mori - jeżeli teraz nie skończę pisać, to mogę się „skończyć" przed książką. To zresztą nieodpowiednie słowo - gdybym wtedy myślał o książce, to bym jej nigdy nie napisał. To były wspomnienia dla moich dzieci i życie (mój rozmówca się śmieje - A.Z.) - niech już tak będzie, że życie zmusiło mnie do ukończenia pisania.
Wspomnienia wysłałem do kilku znajomych w Polsce. Po kilku dniach zadzwonił do mnie kolega, pisarz Witold Zalewski: „To się dobrze czyta. Wiedziałem, że jesteś człowiekiem akcji, ale że i pióra? Dam to do «Czytelnika»". I tak moje wspomnienia przybrały po raz pierwszy formę książki w Polsce.
Poszerzone, francuskie tłumaczenie wydrukowało w 1996 r., w serii „Mémoires XX-e siècle", wydawnictwo „L'Harmattan" pod tytułem „Une Jeunesse polonaise 1923 - 1946. Damnée chance ou Doight de Dieu?". Co więcej, będzie też wydanie angielskie. Właśnie zakończyłem rozmowy na ten temat.

Czy myśli Pan o napisaniu drugiej części wspomnień - o emigracyjnym życiu „Kolumba" - Stanisława Likiernika?
Nie, absolutnie nie. Moje życie we Francji było absolutnie normalne. Rodzina, praca, dzieci - banalna historia jednej rodziny. To, co było niebanalne w moim życiu, napisałem. Nie czuję się na siłach, by opowiedzieć coś ciekawego o moim życiu na emigracji.

Jakie były Pana losy popowstaniowe? Czy nadal towarzyszyła Panu passa szczęściarza, któremu w czasie powstania udało się przebić ze zdruzgotanego Starego Miasta do Śródmieścia Warszawy?
Na szczęście w życiu nie mogę narzekać. Dla przykładu opowiem, jak znalazłem pracę u „Philipsa", która całkowicie zmieniła moją sytuację życiową. Po pierwszym pobycie w Polsce zrozumiałem różnicę swej pozycji społecznej w kraju i we Francji. Tam byłem kimś - miałem swoją rodzinę i jej historię, niecodzienną przeszłość, przyjaciół. Tu, we Francji, byłem nieznanym nikomu człowiekiem, mającym mierną pracę, którą wykonywałem bez satysfakcji. Zrozumiałem wtedy, że to właśnie praca była powodem mojego niezadowolenia, mojej „szarości".
Powiedziałem o mych rozterkach żonie i założyłem się z życiem - jeżeli przez trzy miesiące nie znajdę innej, satyfakcjonującej mnie pracy, to definitywnie kwalifikuję się jako „zero", jestem nikim. Był to zakład niebezpieczny, bo moje dotychczasowe, dziesięcioletnie próby jej zmiany kończyły się fiaskiem. Dałem anons w „Le Monde", trzy linijki. Dostałem jedną odpowiedź - ankietę od „Philipsa". Było w niej 141 pytań, brano też pod uwagę analizę pisma i fotografii. Dostałem tę pracę i przepracowałem tam dwadzieścia pięć lat.
Dobra passa nie opuszczała mnie przez całe życie. Ostatnio jednak nie czuję „palca Bożego" - może to reumatyzm. Nie wiem. Są też problemy ze zdrowiem żony. No, cóż: „Jak się człowiek robi starszy, wszystko w nim parszy - wieje" (śmiech - A.Z.). Przetłumaczyłem to na francuski: „Quand l'homme vieilli tout en lui lentement pou - rri".

Czy świadomość bohaterskiej przeszłości pomagała Panu, czy przeszkadzała w życiu?
Nie zgadzam się na określenie „bohaterska przeszłość". Mam do tego następujący stosunek: jeśli ktoś ratuje tonącego nieznajomego człowieka lub wynosi z płonącego domu dzieci, to jego czyn jest bohaterski, ale jeżeli ktoś przychodzi do mojego domu, by rabować i mordować, tak jak Niemcy przyszli do Polski, to moim normalnym odruchem jest obrona. Tego nie można nazywać bohaterstwem. Proszę mi wierzyć, że w takiej sytuacji znacznie trudniej jest nie robić nic niż działać. W okresie okupacji to była jedyna forma wolności. Pamiętam swoją pierwszą akcję wysadzania pociągu, kiedy butelkami z benzyną zapalałem przewożone odkrytymi wagonami samochody. Tamtej chwili nie zapomnę nigdy - byłem wolny! Mój kolega, po akcji, objął mnie za szyję i pocałował ze szczęścia. Nie byliśmy bohaterami, lecz dana nam była chwilami wolność.
Wracając do pytania - świadomość mojej przeszłości ani mi nie pomagała, ani nie przeszkadzała w życiu. Wydaje mi się, że nie miała wpływu na mój charakter czy psychikę. Natomiast doświadczenia z tego okresu, a zwłaszcza umiejętność działania w zgranej ekipie, okazały się nieocenione w tworzeniu zespołu, którym kierowałem u „Philipsa".

Proszę opowiedzieć o momentach szczególnych w Pańskiej działalności konspiracyjnej. Czy są wśród nich takie, z których jest Pan dumny, a może i takie, których był Pan przyczyną i których żałuje?
Jestem dumny, że byłem w Kedywie - to była kontynuacja tradycji rodzinnych. Mój ojciec był wojskowym i w wojnie polsko-sowieckiej 1920 roku był adiutantem gen. Orlicz-Dreszera. Został wtedy ciężko ranny - kula przeszła mu tuż koło serca. W domu otrzymałem patriotyczne wychowanie, a niepodległość Polski była sprawą świętą. Tej sprawie służyłem w konspiracji.
A czego żałuję... Nieudanej akcji wykonania wyroku śmierci na Erneście Duerfeldzie, dyrektorze warszawskich gazowni i elektrowni, współpracującym z Gestapo. W czasie zamachu już po pierwszej serii zaciął mi się Thompson, zapomniałem też o granacie, który miałem w kieszeni. Duerfeld uszedł żywy, a mnie pozostał niesmak niedokończonej roboty.

Jak powracają tamte dni w Pańskich snach i pamięci?
Nie pamiętam moich snów - z pewnością czasami coś mi się śni, ale nie mam koszmarów. Pamięć o młodości jest podobna do szczytów gór wystających z szarej powłoki chmur. Jak się spojrzy na ten masyw, jest ogromny, a wystające z niego szczyty są sytuacjami ekstremalnymi, które zachowała moja pamięć. Reszta jest masą dni pięciu lat okupacji, której nie pamiętam. Dlatego trudno mi sobie wyobrazić, że to aż tyle trwało.
Trudno mi mówić o radościach, o pełni życia - myśmy mieli zmarnowaną młodość. Ale była ciekawa i w pełni ją

wykorzystałem. Momentami pełnej radości, jak już wspominałem, były akcje przeciw Niemcom. W nienormalnym świecie nie może być normalnych reakcji...

Jaka jest Pana ocena powstania warszawskiego?
Było naszą klęską - polityczną i militarną. Była to tragedia ludzi i miasta. Jestem pełen podziwu dla żołnierzy powstania. Sześćdziesiąt trzy dni walki z taką bronią, jaką mieliśmy, przeciwko uzbrojonym po zęby Niemcom, to był heroizm. Jestem pełen podziwu dla ludności cywilnej Warszawy - to wśród niej były największe straty, dwieście tysięcy zabitych. To było potworne.
Tragedia powstania była do przewidzenia. Dwa dni przed powstaniem Roman Mularczyk (Roman Bratny) powiedział mi, że jeżeli powstanie się zacznie, to Rosjanie zatrzymają się i poczekają, aż Niemcy nas wykończą. Dla mnie też było to oczywiste. Myślałem więc, że bez porozumienia z Rosjanami nasze dowództwo nie wyda rozkazu rozpoczęcia powstania. Stało się inaczej.
Wśród nas, powstańców, są na temat powstania warszawskiego dwie skrajne oceny. Jedni - tak jak ja - mówią o tragedii ludzi i Warszawy, o politycznej i militarnej klęsce. Drudzy, jak np. Jan Nowak-Jeziorański - o konieczności wzniecenia powstania, o zwycięstwie moralnym, o pozytywnych dla Polski politycznych skutkach powstania. Prawda z pewnością leży pośrodku. Mam wielu przyjaciół w Polsce i nie chciałbym, aby różnica zdań na temat powstania była źródłem nieporozumień między nami. Jestem bardzo ostrożny w publicznym wypowiadaniu ocen, a już na pewno nie chciałbym stawiać swego zdania ponad moją przyjaźń do tych ludzi.

Czy Pański udział w walce o wyzwolenie Polski spod niemieckiej okupacji został dostrzeżony przez dowództwo wojskowe i organizacje kombatanckie? Czy należy Pan do organizacji kombatanckich w kraju i na emigracji?
Zaraz po wojnie mój przyjaciel i szef, Stanisław Sosabowski, który przebywał w Londynie, wystawił mi zaświadczenie o udziale w powstaniu, ale go nie uznano. Powiedziano, że został on ranny już 4 sierpnia, wobec tego nie mógł być dalej podczas powstania w stosunku służbowym ze mną. Cholera mnie wzięła i dałem spokój. I taki stan trwał latami. Moi przyjaciele w Polsce dostali Virtuti Militari, Krzyże Walecznych - ja nic.
Przypomniano sobie o mnie dopiero po latach. Odnaleziono rozkazy powstańczego dowództwa o przyznanych medalach i awansach. W ten sposób odzyskałem Krzyż Walecznych i awans na podporucznika. I znów kilkuletnia cisza. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych mój szef, Józef Rybicki, doszukał się w archiwum, że rozkaz przyznający mi Virtuti Militari został w czasie powstania zasypany pod gruzami. Dostałem je więc z Londynu.
Od trzech, czterech lat jestem członkiem Związku Byłych Żołnierzy AK w Paryżu, a i w Polsce należę do organizacji kombatanckiej. Teraz w Polsce dają nam tytuł „weteranów" (mój rozmówca się śmieje - A.Z.) i woskowe awanse. Ja już miałem awans z podporucznika na porucznika, z porucznika na kapitana, a teraz mam być majorem. Skandaliczne! (śmiech). W moim wieku być tylko majorem! Ja muszę być generałem! (śmiejemy się)

Czy tęskni i powraca Pan do Warszawy?
Jestem tam co roku. Każdy pobyt jest dla mnie bardzo wzruszający, zwłaszcza, że mieszkam na Starym Mieście, na Bonifraterskiej, tuż przy kościele św. Jana. Biłem się o ten kościół... Jak byłem w Warszawie z moimi dziećmi, to śmiały się ze mnie - ciągle mówiłem, że na tej ulicy było to, a w tym domu stało się to. Jest oczywiste, że patrzę na Warszawę inaczej niż ludzie, którzy w niej stale mieszkają, ale nadal czuję się z nią związany. I to mimo tego, że we Francji jestem już pięćdziesiąt cztery lata, dwa razy tyle, ile spędziłem w Polsce, że jestem z Francją związany rodziną. Moje myśli często są w kraju, w Warszawie.

Dziękuję za rozmowę

rozmawiał Andrzej Zamojski

Młodość „Poloniki"

Polacy są wszędzie, a więc w Aix en Provence i okolicach także. W maju ubiegłego roku powołano do życia Stowarzyszenie francusko-polskie w Prowansji POLONICA, otwarte dla dorosłych i dla dzieci, Francuzów i Polaków. Jestem umówiona z jego prezeską, Barbarą Raison, na dworcu w Aix. Bez znaków rozpoznawczych, więc wpadam w lekki popłoch widząc gromadkę dam na końcu peronu. Jednak polskie spojrzenie czymś się wyróżnia, bo nie mamy wątpliwości, że my to my i już w drodze na parking rozmawiamy o „Polonice":

Zacznijmy od początku - Polacy mieszkają w Prowansji od dawna, cóż więc się wydarzyło, że postanowili powołać organizację?
Nic szczególnego. Zaczęło się - trochę przez księdza. Ks. Ryszard Biernat przyjeżdżał z Marsylii w każdą drugą i czwartą niedzielę miesiąca i odprawiał dla nas Msze św. w tutejszym kościele parafialnym. Po dwóch latach doszedł do wniosku, że - skoro Polaków w Aix wciąż przybywa, bo coraz więcej osób przychodziło na msze - byłoby lepiej, gdyby na stałe przeniesiono Go do Aix en Provence. I od roku jest z nami, pracując w parafii francuskiej.

Przybywało Polaków - czyli znajomi znajomych powiadamiali, że jest polski ksiądz?
Tak. Często poznawaliśmy się przypadkiem - ale każdy wspominał o mszach polskich, zaczęła się tworzyć wspólnota. Po nabożeństwie organizowaliśmy spotkania, i tak coraz

więcej ludzi gromadziło się wokół księdza. Równocześnie kilka osób podjęło się organizowania cotygodniowych spotkań dla dzieci, zwłaszcza w wieku przedszkolnym, które uczyły się śpiewać, recytować i tańczyć po polsku. W czerwcu odbywało się święto, podczas którego dzieci prezentowały własny spektakl. W zeszłym roku czerwcowa impreza była jednocześnie uroczystą inauguracją naszego stowarzyszenia.

Czyli sformalizowaliście się po prostu?

Myśleliśmy o tym wcześniej, była mowa o zorganizowaniu sekcji teatralnej - w tym czasie dołączyła do nas Magda Gouilhou, która z kolei chciała uruchomić polską szkołę w Aix. Tak więc trzeba było powołać stowarzyszenie, aby szkoła miała w nim oparcie. I od września ubiegłego roku mamy szkołę. Zajęcia odbywają się w środy po południu dla dzieci i w soboty - rano dla młodzieży, a po południu dla dorosłych. Są to osoby, które mają polskich współmałżonków, ale i Francuzi, którzy są Polską zainteresowani i chcą nauczyć się języka, zanim odwiedzą ją jako turyści.

A to ładne. Ilu macie uczniów?

Ponad trzydziestu - w tym dwadzieścioro dzieci i sześć osób w grupie młodzieżowej.

Wśród dorosłych są też osoby zainteresowane naszym krajem zawodowo, biznesmeni. W kilka miesięcy po powołaniu Stowarzyszenia braliśmy udział w organizowanej co roku w każdym mieście Francji promocji stowarzyszeń, które działają w mieście. Mieliśmy bardzo mało czasu, ale zdążyliśmy przygotować stoisko z informacjami o nas i o Polsce.

Czyli stworzyliście Państwo stowarzyszenie francusko-polskie, ale w duchu bardzo polskim. Czy wśród członków pozostali Francuzi?

Tak, oczywiście. Myśmy po prostu wyszli z założenia, że należy respektować oczekiwania wszystkich członków, i otworzyć się dla wszystkich. Mamy francuskich współmałżonków, i Francuzów, którzy kiedyś pracowali w Polsce i pragną podtrzymać kontakty, a także grupę młodych, zainteresowanych krajem i ewentualną możliwością pracy w Polsce, albo też zaprzyjaźnionych z Polakami.

Szkoła to jeden z elementów działalności - co jeszcze robicie?

Oczywiście tradycyjne spotkania, takie jak Andrzejki, Mikołajki, Opłatek, Jasełka. W marcu zorganizowaliśmy bal maskowy, który bardzo się udał mimo naszych pierwotnych niepokojów. Wszyscy fantastycznie się poprzebierali i świetnie bawili. W kwietniu prezentowaliśmy „Pana Tadeusza" - od 5 do 11 kwietnia, po dwie projekcje dziennie. Dyrektor kina, w którym się odbywały, miał daleko idące obawy, zwłaszcza po przeczytaniu krytyk prasowych - ale dał się przekonać. Ale po ostatniej projekcji, na którą zaprosiliśmy pana Charlesa Zarembę, który na uniwersytecie w Aix wykłada historię i literaturę polską i który poprowadził dyskusję w kontekście historycznym, był bardzo zadowolony z frekwencji. W maju sprowadzamy z Krakowa zespół „Ardente Sole" z programem tańców średniowiecznych i barokowych. W czerwcu odbywa się tradycyjna pielgrzymka na Ste. Victoire - te spotkania mają wśród nas długą historię, jeszcze w latach osiemdziesiątych nasi rodacy udawali się na Górę św. Wiktorii, gdzie w kaplicy odprawiano Mszę św.

Barbara Raison fot. A. Panecka

Sporo się wydarzyło jak na tak krótki czas... Jak przyjmowane są w Aix Wasze propozycje?

Okazało się, że jest coraz więcej Polaków, coraz więcej osób poznajemy. Myśmy o sobie nie wiedzieli, a dzięki stowarzyszeniu, a także artykułom, których sporo o nas napisano w „La Provence", pojawiają się też osoby polskiego pochodzenia, które od dawna nie miały kontaktów z Polską.

No właśnie - jaka jest historia Polonii w Prowansji?

Polacy zaczęli się tu osiedlać w latach międzywojennych, i do dziś nie wiadomo dokładnie, ilu potomków ówczesnych górników mieszka w Prowansji. W latach powojennych znalazła się tu dość liczna grupa naszych rodaków, emigrantów z lat sześćdziesiątych i osiemdziesiątych. W ostatnim dziesięcioleciu przybywa osób, które przyjechały np. na studia, a pozostają ze względu na pracę lub małżeństwo.

I to widać w stowarzyszeniu - mamy kontakty z wieloma młodymi, aktywnymi ludźmi, którzy chcą coś robić z nami. „Polonica" jest organizacją o charakterze kulturalnym przede wszystkim - w jak najszerszym znaczeniu pragniemy promować polską kulturę na południu Francji. Mam nadzieję, że będziemy to czynić w porozumieniu i współpracy z innymi organizacjami polonijnymi działającymi na tym obsza-

rze. Liczymy też, że z czasem zyskamy subwencje, które umożliwią nam realizację bardziej śmiałych projektów. Na razie działamy w oparciu o własne, bardzo skromne fundusze i zapał naszych współpracowników. Myślę, że w ciągu minionego roku udowodniliśmy, że jesteśmy poważnym stowarzyszeniem, i że merostwo Aix to doceni. Bardzo na to liczymy, gdyż ze składek członkowskich ledwie da się utrzymać szkołę i zorganizować kilka spotkań rocznie. A chcielibyśmy organizować więcej wystaw i spektakli, rozszerzyć współpracę ze stowarzyszeniami francusko- węgierskim i czeskim -- mamy projekt utworzenia w Aix domu kultury krajów Europy Środkowo-Wschodniej, ale oczywiście musi on zyskać akceptację merostwa. Stowarzyszenie węgierskie działa w Aix od jedenastu lat, są bardzo dobrze zorganizowani, myślę, że warto współpracować.

A jak współpracuje się z Polską?
Magdalena Guilhou nawiązała kontakt z Ministerstwem Edukacji w sprawie szkoły, ale do tej pory trudno mówić o współpracy - czekamy na uznanie naszej szkoły przez MEN.

Życzę, aby jak najszybciej olśnił je dynamizm „Poloniki" - i dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Agnieszka Panecka

Zasiadam na ławie szkolnej w klasie młodzieżowej. Najlepszym probierzem osiągnięć Magdy Guilhou i jej koleżanek jest krótka rozmowa z jedną z uczennic, która z dumą informuje mnie, że jest osobą polskiego pochodzenia i postanowiła poznać język przodków. Krótko mówiąc - jak na niedługi czas nauki mówi aż za dobrze. Zajęcia szkolne odbywają się w dwóch salkach budynku parafialnego, jest nadzieja na kolejną - dobudówkę przy kościele, widoczną z okna. Z ks. Ryszardem Biernatem, wiceprezesem Stowarzyszenia i duszpasterzem zarazem oraz członkami zarządu „Poloniki" rozmawiamy o Polakach w Prowansji, kłopotach w Marsylii, do której przyjeżdża zbyt wiele młodzieży i kandydatów do Legii Cudzoziemskiej, o pozostających pod jego opieką Polakach Południa, siostrach zakonnych, do których też jeździ z posługą, gdyż przez całe życie we francuskim zgromadzeniu spowiadają się wyłącznie po polsku. Ksiądz - młody, błyskotliwy, energiczny - zadowolony ze swych przyjaciół i podopiecznych zarazem, zasłania się rektorem paryskiej Misji - „Powiedział mi, że jeśli chcę coś zrobić - muszę zacząć od dzieci". Prawda, często tak bywa. Ale w Aix znalazł znakomite partnerstwo - młodych entuzjastów. Barbara Raison dzielnie sobie radzi, przygotowując się ostatnio do egzaminów prawniczych na uniwersytecie, wszystko najwyraźniej organizuje w biegu, ale precyzyjnie. Marta Foltzer, absolwentka historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamartwia się teraz, czy dopisze publiczność na polskim spektaklu w amfiteatrze - moje podejrzenie graniczy z pewnością: tak samo musiała przeżywać każdą klasówkę czy egzamin, z których potem wychodziła z piątką. Andrzej Mostowski, niespotykanie spokojny, zamiłowany w sporcie rowerowym, do którego nie zraziło go nawet czołowe spotkanie z ciężarówką, opowiada o rajdach górskich, które organizuje dla członków i sympatyków stowarzyszenia. Zupełnie mimochodem, obojętnie, wspomina, że wraz z synem biorą udział w prestiżowych wyścigach kolarskich zawodowców -"no, siedemdziesiąty w tej stawce jak na amatora to nienajgorzej, niech wiedzą, że Polacy...". Magda Guilhou z pewnością nie wygląda na przełożoną pensji - ale jest bardzo konkretna - potrzebne są tablice, podręczniki, pomoce dydaktyczne, wzbogacenie biblioteki. Pani Anna Maziarz dba w „Polonice" o wierność tradycjom, także kulinarnym - przed każdym spotkaniem ma pieczenia a pieczenia, to pewne.

„Polonica" zmaga się z trudnościami znanymi znakomitej większości polskich stowarzyszeń - brak pieniędzy, własnego lokalu etc. Czyni to z humorem, w atmosferze wzajemnej sympatii, przyjaźni, skomentowanej przez panią Martę: „wszystkim nam chodzi o to samo." (ap)

Osiemnaście dni prasy wileńskiej

W przedwojennym Wilnie różne grupy narodowościowe wydawały swoją prasę. W końcu lat trzydziestych ukazywało się 114 gazet i czasopism, w tym 17 dzienników. W języku polskim ukazywały się 74 tytuły, w hebrajskim i jidysz - 16, w białoruskim - 12, w litewskim - 9, w rosyjskim - 3.

Napaść III Rzeszy na Polskę nastąpiła 1 września 1939 roku nad ranem, w momencie, gdy większość dzienników była w drukarniach lub już u kolporterów. Poranne wydania gazet nie przyniosły wiadomości o napaści na kraj, natomiast 3 września większość dzienników przestała się ukazywać, choć w niektórych miastach prasa wychodziła aż do momentu zajęcia ich przez Niemców, a nawet dłużej.

Inaczej było na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej, gdzie prasa ukazywała się regularnie, co prawda, w zmniejszonej liczbie tytułów i w ograniczonym nakładzie. W Wilnie nadal wychodziły „Słowo", „Kurjer Wileński", „Robotnik Wileński" i „Express Wileński".

Wiadomość o napaści Niemiec na Polskę gazety wileńskie podały 2 września. „Kurjer Wileński" informował czytelników: „Niemcy wtargnęli w granice Polski. Lotnictwo nieprzyjaciela bombardowało ludność cywilną. Armia polska mężnie odpiera natarcie wroga". Z kolei „Robotnik Wileński" tego dnia wydał dodatek popołudniowy, zamieszczając relacje z frontu Polskiej Agencji Telegraficznej, informacje radia angielskiego, włoskiego, francuskiego i własne. Prasa podawała również wiadomości z ówczesnej stolicy Litwy - Kowna.

W tematyce politycznej i komentarzach przodowało „Słowo", świetnie redagowane przez Stanisława Mackiewicza. Jeszcze w przededniu wybuchu wojny dziennik zamieścił odezwę Zjednoczenia Polskich Pisarzy i Dziennikarzy Katolickich, w której czytamy: „W obliczu tak bliskiego niebezpieczeństwa my, katoliccy pisarze i dziennikarze Polski, uważamy za obowiązek najświętszy odwołać się do sumienia wszystkich narodów świata, przypominając raz jeszcze, że nie Polska jest napastnikiem, czyhającym na cudzą własność i nie Polska dąży do wojny, ale zmuszona jest nieustannymi atakami gwałtów do obrony swych granic, swych praw i swojego honoru".

Nie przerywając drukowania powieści obyczajowej, „Słowo" zaczęło zamieszczać utwory literackie o wydźwięku patriotycznym. Gazeta celowała w propagowaniu utworów Henryka Sienkiewicza pisanych onegdaj, jak wiadomo, „ku pokrzepieniu serc". Już na początku września odbiorcy „Słowa" i „Kurjera Wileńskiego" czytali ogłoszenia następującej treści: „W każdym polskim domu „Krzyżacy", nieśmiertelne dzieło Henryka Sienkiewicza za 3 zł". Każdy setny nabywca „Krzyżaków" otrzymywał bezpłatnie prenumeratę tych gazet lub, według życzenia, inne wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Piątego dnia wojny „Słowo" zaczęło zamieszczać cytaty z dzieł Sienkiewicza.

"Wściekłość walczyła z wściekłością, pierś uderzała o pierś - mąż wiązał się w uścisku śmiertelnym z mężem" - przytaczano fragment z „Ogniem i mieczem". Jednakże najczęściej cytowanym dziełem byli „Krzyżacy". Nieraz cytowane dzieło Henryka Sienkiewicza i fragmenty tekstu drukowane były tłustą czcionką i umieszczane obok winiety.

8 września autor ukryty za inicjałami t. b. (Teodor Bujnicki) pisał w artykule zatytułowanym „Czytajmy Sienkiewicza": „W chwilach, gdy będzie się nam zdawało, że nie damy już sobie rady z wątpliwościami, z niewiarą i depresją, sięgnijmy po tom „Potopu", „Krzyżaków" czy „Ogniem i mieczem". Odwróćmy na chybił-trafił kartkę i czytajmy (...) Nie takie przechodziła Rzeczpospolita terminy, nie w takich jak dziś się znajdowała opresjach, a jednak wychodziła z nich zwycięsko. Świadomość zaś tego nie czerpiemy z romansu, ze zmyślonej pięknie powiastki, lecz z historii. Potęgą i siłą krzepiącą książki Sienkiewicza jest właśnie jej ścisłość historyczna, prawdziwość. Dlatego wychowała już ona pokolenie, które z bronią w ręku wywalczyło Polsce niepodległość, dlatego służy dziś pokoleniu, któremu przypadł zaszczyt obrony tej wolności. Nasz wróg ma świetnie wyposażoną armię w najnowsze zdobycze techniki wojennej. Ma samoloty, działa, czołgi, jego arsenał bezdusznych maszyn jest bogaty i potężny. Nie może mieć jednak tego, co posiadamy my: poczucia, że walczymy o słuszną sprawę, o wolność i całość kraju; nie ma też tych husarskich skrzydeł, które nam przypiął Henryk Sienkiewicz".

"Słowo" publikowało również utwory Jerzego Putramenta, Jerzego Zagórskiego, Aleksandra Rymkiewicza, Kazimiery Iłłakowiczówny, Jana Brzechwy, fragmenty prozy Stefana Żeromskiego: „Milcz z zaciśniętymi zębami i składaj wewnątrz siebie przysięgę, kiedy chodzi o Polskę". Zamieszczono fraszkę Franciszka Bohomolca pt. „Na szukającego cudzych obiadów" i epitafium pióra Magdaleny Samozwaniec „Nagrobek kotowi", w których pod postaciami i szukającego cudzych obiadów, i kota czytelnik łatwo rozpoznawał Adolfa Hitlera. Na kilka dni przed wybuchem wojny opublikowano fragment jednego z wierszy Kazimierza Wierzyńskiego:

„Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wedrze
Gęstą łuną, co wszystko z tych murów pościera
Oprócz krwi zapisanej na waszej katedrze:
Że tem się tylko żyje, za co się umiera".

Prasa wileńska owych dni wrześniowych skrupulatnie rejestrowała przebieg wydarzeń na froncie: obrona Westerplatte, obrona Warszawy. W jednym z numerów „Słowa" opublikowano wiersz Jana Brzechwy „Ojczyzna":

„Nad Wisłą burza zawisła,
W burzy młodnieje śpiew,
Woda w Wiśle nie wyschła,
W żyłach nie wyschła krew".

Wilno przeżywało powszechną mobilizację rezerwistów. Udawali się oni do Kaplicy Ostrobramskiej, a stąd prosto na dworzec kolejowy. „Express Wileński" informował, że w mieście zorganizowano akcję oddawania przeczytanych dzienników i tygodników. Wytypowano osiemnaście punktów zbornych, skąd prasa zabierana była na dworzec i dostarczana przejeżdżającym oddziałom. Punkty takie znajdowały się w księgarniach, cukierniach, aptekach - tam, gdzie gromadzili się ludzie.

17 września 1939 roku w myśl paktu Ribbentrop - Mołotow i tajnego protokołu podpisanego przez ZSRR i Niemcy, Związek Radziecki zaatakował Polskę, zajmując jej wschodnie województwa. Najazd spowodował zaprzestanie wydawania gazet na tych terenach. Ostatnie numery „Robotnika Wileńskiego" i „Expressu Wileńskiego" ukazały się 17 września, natomiast wydania „Słowa" oraz „Kurjera Wileńskiego" po raz ostatni wyszły 18 września.

"Kurjer Wileński" donosił w ostatnim wydaniu - „wczoraj na Wilno zrzucono około trzystu bomb, zniszczonych zostało kilka domów w różnych częściach miasta, uszkodzono radiostację".

„Słowo" opatrzyło ostatni numer mottem: „Gdy oddział wojska znajdzie się w ciężkich warunkach, ten jest jego dowódcą, kto każe strzelać". Stanisław Mackiewicz w publicystycznym artykule pożegnalnym pt. „Wilno" w redagowanym przez siebie dzienniku napisał: „Ostateczne zwycięstwo przypadnie państwom zachodnim i na to ani Niemcy, ani Sowiety nie poradzą. Możemy być pewni tego zwycięstwa ostatecznego. Wiemy także, że: Wilno pozostanie wierne swoim uczuciom, swemu patriotyzmowi. Wilno jest miasto wierne. Wilno będzie się bronić! W chwili, kiedy moja 17-letnia praca na stanowisku redaktora „Słowa" dobiega kresu, wznoszę okrzyk: Niech żyje żołnierz polski! Boże, dopomóż w słusznej walce i zmiłuj się nad Wilnem".

W nocy z 18 na 19 września Armia Czerwona wkroczyła do Wilna. W dniach napaści ZSRR na wschodnie obszary II Rzeczypospolitej na Wileńszczyźnie rozrzucane były polskojęzyczne sowieckie ulotki propagandowe. Oskarżały one władze polskie o porażkę w wojnie z Niemcami, apelowały do żołnierzy polskich o solidarność klasową i wzywały do przechodzenia na stronę Armii Czerwonej. 22 września 1939 roku w Wilnie władze okupacyjne zaczęły wydawać sowiecką gazetę w języku białoruskim „Wilenskaja Prauda".

Kiedy po czterdziestu dniach trwania pierwszej okupacji sowieckiej Wilno zostało przekazane Litwie, w mieście znów udało się wznowić wydawanie przedwojennego „Kurjera Wileńskiego" oraz założono inny dziennik - „Gazetę Codzienną". Jednocześnie równolegle do wydawnictw legalnych zaczęła ukazywać się prasa konspiracyjna, spełniająca rolę druków „drugiego obiegu", na czele z dwutygodnikiem „Niepodległość". Można szacować, że w okresie od września 1939 do maja 1945 roku na terenie Litwy ukazywało się ponad 70 polskojęzycznych tytułów i biuletynów konspiracyjnych. Wielu twórców prasy „drugiego obiegu" rekrutowało się spośród współpracowników przedwojennej prasy wileńskiej.

Józef Szostakowski

Szkoła Letnia w Sankt Petersburgu

Polonijna parafia św. Stanisława w Sankt Petersburgu, przy finansowym współudziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", zorganizowała już po raz drugi Szkołę Letnią Języka i Kultury Polskiej, która w tym roku odbyła się w dwu turnusach. W dniach 14 - 25 lipca br. uczestnikami Szkoły była młodzież szkolna, studencka i pracująca w wieku 17-25 lat pochodzenia polskiego, natomiast w dniach 24 - 31 lipca br. spotkali się po raz drugi uczestnicy ubiegłorocznej Szkoły Letniej. Goście mieli zapewnione zakwaterowanie, wyżywienie oraz częściowy zwrot kosztów podróży. Większość uczestników musiała pokonać wiele kilometrów, np. młodzież z europejskiej części Rosji, aby dojechać do Sankt Petersburga miała z Kaługi - 900 km czy z Samary - 1780, natomiast z miast syberyjskich: z Jekaterinburga - 2600, z Tomska - 4200, z Usola Syberyjskiego - 5800, a z Ułan-Ude - 6200 km. Uczestnicy przybyli także z innych miast Rosji: ze Smoleńska, Saratowa, Murmańska, Kaliningradu, Kazania, Wołgogradu, Togliatti, Rostowa nad Donem, Tiumenia, Omska, Barnaułu, Krasnojarska oraz z Mińska na Białorusi i Bielc w Mołdawii. Do Sankt Petersburga przyjechało łącznie 58 osób.

W realizację założeń programowych Szkoły Letniej zaangażowanych było czternastu nauczycieli i wychowawców. Zajęcia odbywały się w dwu cyklach: rannym i popołudniowym. Wykłady i ćwiczenia obejmowały różne zagadnienia z historii Polski, literatury, kultury i religii oraz naukę języka polskiego. W zrealizowanym programie łącznie odbyło się 25 godzin wykładów, 20 - nauki języka i 15 - innych zajęć praktycznych, m.in. zwiedzanie muzeów, teatru, spotkania połączone z nauką pieśni religijnych i patriotycznych. W programie przewidziane było także uczestnictwo w Mszy św.

Zajęcia i wykłady prowadzili lektorzy z Polski i Sankt Petersburga. Wanda Boguska przeprowadziła wykłady z literatury polskiej, kultury społecznej i artystycznej oraz zajęcia z języka polskiego, Maja Bobowa - wykłady z historii Polski, Jadwiga Anders-Bobowa - lekcje języka polskiego. Ks. Krzysztof Pożarski wygłosił wykłady z kultury religijnej. Naukę śpiewu religijnego, „kwadranse dobrego wychowania" i „pogodne wieczory" prowadziła s. Katarzyna Antolak. Pieśni patriotycznych i biesiadnych uczył Jerzy Downar. Wycieczkę na temat „Polacy w Petersburgu" poprowadził Leon Piskorski, a petersburskie kościoły pokazał młodzieży Aleksander Szykier. Wykłady i zajęcia odbywały się w większości w jednej ze szkół muzycznych w Sankt Petersburgu oraz na plebanii i w kościele św. Stanisława.

Zadaniem Szkoły było pogłębienie wiedzy o Polsce, jej historii i kulturze, a także kształcenie sprawności językowej i poprawnej polszczyzny. Celem Szkoły było przygotowywanie młodych

kadr do aktywnego odbioru, uczestnictwa i współtworzenia kultury polskiej i religijnej w swoim środowisku. W związku z tym, że Szkoła trwa krótko, każdy uczestnik na jej zakończenie oprócz pamiątkowego dyplomu i różnych polskich książek, otrzymał także kilka egzemplarzy specjalnie wydanej broszury pt. „Co każdy Polak wiedzieć powinien", aby mógł zabrać je do domu i rozdać najbliższym. Z tej okazji wydane też zostały wiersze petersburskiej poetki polonijnej Bronisławy Pawluć w zbiorku pt. „Kocham Cię, Polsko", a uczestnicy Szkoły sami przygotowali jednodniówkę pt. „Echo".

Każdy uczestnik Szkoły w trakcie zajęć z doskonalenia języka mógł opisać własne wrażenia. Oto dwie wypowiedzi:

„Szkoła Letnia podoba mi się, a zwłaszcza pożyteczne są dla mnie zajęcia z literatury i kultury polskiej. Studiuję w Polsce i posługuję się językiem bez żadnych problemów, jednak ze względu na kierunek studiów (informatyka) mam duże braki w literaturze, dlatego zajęcia wcale mnie nie nudzą. Uważam, że na lektoracie języka polskiego w grupie zaawansowanej trzeba bardziej popracować nad wymową i polskim akcentem oraz zmuszać uczestników do mówienia po polsku. Jestem w Petersburgu po raz pierwszy i zauważam, że Szkoła jest dobrze zorganizowana, ponieważ wraz z kulturą Polski poznajemy kulturę Petersburga, co bardzo jest nam potrzebne. Przecież mieszkamy w tym kraju" (Irina Taniukiewicz - Smoleńsk).

„W tym roku mam szczęście! Dzięki Bogu zostałam zaproszona do II Szkoły Letniej Języka i Kultury Polskiej. Byłam już wcześniej na kursach języka polskiego, ale na takim jak w Petersburgu, pierwszy raz. Szkoła jest bardzo pożyteczna dla młodych Polaków w Rosji, bo uczymy się religii, kultury, historii, literatury i języka polskiego - tego, co powinien znać każdy Polak" (Wala Żywańska - Ułan-Ude).

Jestem pełen podziwu dla młodzieży, która przyjechała z tak daleka, z różnych środowisk i w zasadzie poznała się dopiero w Szkole. Wielu młodych ludzi nie zdawało sobie dobrze sprawy, czym jest Szkoła Letnia z jej programem i dyscypliną, niektórzy myśleli, że będzie to pobyt wypoczynkowy. Wszyscy przystąpili do nauki i nie było większych problemów. Wielu tegorocznych uczestników chcemy zaprosić w roku 2001 do Petersburga ponownie, aby dalej kontynuować ich kształcenie. Nasza Szkoła obejmuje trzyletni cykl szkolenia, dlatego dla grupy, która przez kolejne dwa lata przyjeżdżała do Sankt Petersburga, widzimy potrzebę zorganizowania następnego pobytu w Polsce. W ciągu dwu lat istnienia Szkoły z tej formy nauki skorzystało ponad sto osób z trzydziestu miast Rosji, dlatego można żywić nadzieję, że spośród nich wyłoni się w przyszłości grupa polonijnych liderów.

Wspólne grillowanie

Wiemy, jak trudne były losy Polaków w Rosji, jak byli rozrzuceni po bezkresach Syberii, jak wyrywano z ich serc miłość do Boga, języka ojczystego i tradycji. Dlatego mam wielką nadzieję, że poprzez naszą działalność przynajmniej w jakiejś części naprawimy to, co zostało im i nam zabrane. Jestem niezwykle wdzięczny Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska" za pomoc i niezwykłą troskę, dzięki którym Szkoła Letnia mogła zacząć funkcjonować. Jestem przekonany, że formuła Szkoły przyczyni się do odrodzenia polskości i podtrzymywania polskich tradycji narodowych w Rosji.

ks. Krzysztof Pożarski
- rektor Szkoły Letniej Języka
i Kultury Polskiej w Sankt Petersburgu

Ostaszków, Twer, Miednoje

Obóz specjalny NKWD dla jeńców polskich w Ostaszkowie zaczęto urządzać na podstawie rozkazu Ławrentija Berii z 19 września 1939 roku. 21 września otrzymali nominacje komendant obozu, mjr NKWD Paweł Borisowiec i komisarz polityczny obozu, starszy politruk Iwan Jurasow. Podporządkowani zostali Dmitrijowi Tokariewowi, szefowi NKWD w obwodzie kalinińskim. 2 października obóz ostaszkowski przeznaczono przede wszystkim dla policjantów, żandarmerii, służb granicznych i więziennych.

Z około 33 tysięcy policjantów w kampanii wrześniowej 1939 roku zginęło 2,5 - 3 tysiące. Trzy tysiące uszły za granicę, do Rumunii i na Węgry, Litwę lub Łotwę. Pod okupacją radziecką znalazło się około 12 tysięcy funkcjonariuszy Policji Państwowej i Policji Województwa Śląskiego (na Śląsku administracja państwowa, w tym także policja, miały w II RP pewną autonomię). Więcej niż połowa z tej liczby - przeszło sześć tysięcy policjantów - została wzięta do niewoli lub aresztowana przez organy ZSRR.

W grudniu 1939 roku w obozie ostaszkowskim więziono 240 oficerów, 775 podoficerów i 4924 szeregowców policji. Ponadto - 48 oficerów, 72 podoficerów i szeregowców Wojska Polskiego, 40 żandarmów, 189 funkcjonariuszy Straży Więziennej, 41 żołnierzy Straży Granicznej i Korpusu Ochrony Pogranicza, 9 pracowników wywiadu i kontrwywiadu, a także około setki osób cywilnych: 5 pracowników sądownictwa, 35 osadników wojskowych, 5 duchownych, kilkudziesięciu urzędników państwowych, ziemian, kupców. Do chwili „rozładowania" obozu ten stan nieznacznie się zmienił. W lutym 1940 roku wymieniono z innymi obozami kilkudziesięcioosobowe grupy: wywieziono oficerów i żołnierzy WP, przywieziono policjantów, pracowników sądownictwa i księży. Mimo tych „porządków", wśród ofiar Katynia i Charkowa było około 150 policjantów.

Obóz umieszczono na Stołbnym Ostrowie, wyspie na jeziorze Saliger, 11 kilometrów od Ostaszkowa (około 300 kilometrów na zachód od Moskwy), w zrujnowanych budynkach z XVIII wieku po prawosławnym męskim monasterze, nazywanym Niłowa Pustyń (pustelnia św. Nila). Budynki były prawie nieogrzewane, brakowało dla części jeńców posłań, racje żywności były głodowe. W Ostaszkowie panowały gorsze warunki niż w obozach oficerskich w Kozielsku i Starobielsku; więcej więźniów zapadło na ciężkie choroby, większa była śmiertelność; zmarło prawie stu. Byli zatrudniani do prac remontowych i budowlanych; usypali 270 metrów grobli, zbudowali 30 metrów mostu, odbudowali 2,5 tysiąca metrów kwadratowych budynków poklasztornych, wznieśli baraki o powierzchni 5 tys. m². Wartość jenieckiej dniówki oceniono na... 20 kopiejek. Akcja „rozładowania" obozu w Ostaszkowie rozpoczęła się 4 kwietnia, zakończyła 13 maja 1940 roku.

„Gdy ten pierwszy transport odchodził, patrzyłem nań przez szparę w płocie. Na gładkiej tafli zamarzniętego jeziora pokrytej śniegiem ujrzałem żywy obraz Grottgera w najdrobniejszych szczegółach. Smutek ściskał serce. Po półgodzinie konwojowani znikli mi z oczu za najbliższą wysepką", wspominał w „Zbrodni katyńskiej w dokumentach" jeden z około stu ocalonych jeńców tego obozu. „Do dalszych transportów zaczęto dołączać po kilku obłożnie chorych ze szpitala. Ludzi o gasnącym życiu przynoszono na noszach i wraz z chorymi, którzy jeszcze mogli się poruszać, kładziono na wozy pociągane przez konia".

Transporty jeńców z Ostaszkowa odsyłano do Tweru (ówczesna nazwa Kalinin), około 200 kilometrów na zachód od Moskwy. Mordowano ich nocą, w siedzibie obwodowego zarządu NKWD przy ulicy Sowieckiej 2 (obecnie mieści się w tym budynku wyższa uczelnia medyczna), w dźwiękochłonnym, wyłożonym wojłokiem pomieszczeniu piwnicznym. Zwłoki wywożono ciężarówkami do odległego o około 30 kilometrów ogrodzonego kwartału leśnego w pobliżu miasta Miednoje, na przeciwległym brzegu rzeki Twiericy, gdzie - tak samo jak w Katyniu i Piatichatkach - mieściły się (aż do końca lat 80.) dacze ośrodka wypoczynkowego NKWD. Zamordowanych grzebano w czterometrowych dołach, które dla zamaskowania obsadzono potem drzewami. Wcześniej, w okresie „jeżowszczyzny" w latach 1937 - 1938, w tym samym lesie grzebano rozstrzelanych przez NKWD obywateli ZSRR; ustalono nazwiska 3670 ofiar, ale sądzi się, że mogło ich być nawet 10 tysięcy.

Zamordowano w Twerze i pogrzebano w Miednoje co najmniej 6288 jeńców obozu w Ostaszkowie. Ich los władze ZSRR ujawniły dopiero w 1990 roku. W 1991 roku zezwoliły na przeprowadzenie sondażowych badań archeologicznych. Już pierwszego dnia prac, 15 sierpnia, ekipa profesora medycyny sądowej Bronisława Młodziejowskiego z polskiego MSW odkryła dowody masowego mordu na jeńcach polskich. W latach 1995 - 1996 przeprowadzono pełną ekshumację z 25 odnalezionych masowych grobów. Na wiosnę 1999 roku Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa rozpoczęła budowę polskiego cmentarza wojennego według projektu rzeźbiarzy Zdzisława Pidka i Andrzeja Sołygi. *(aka)*

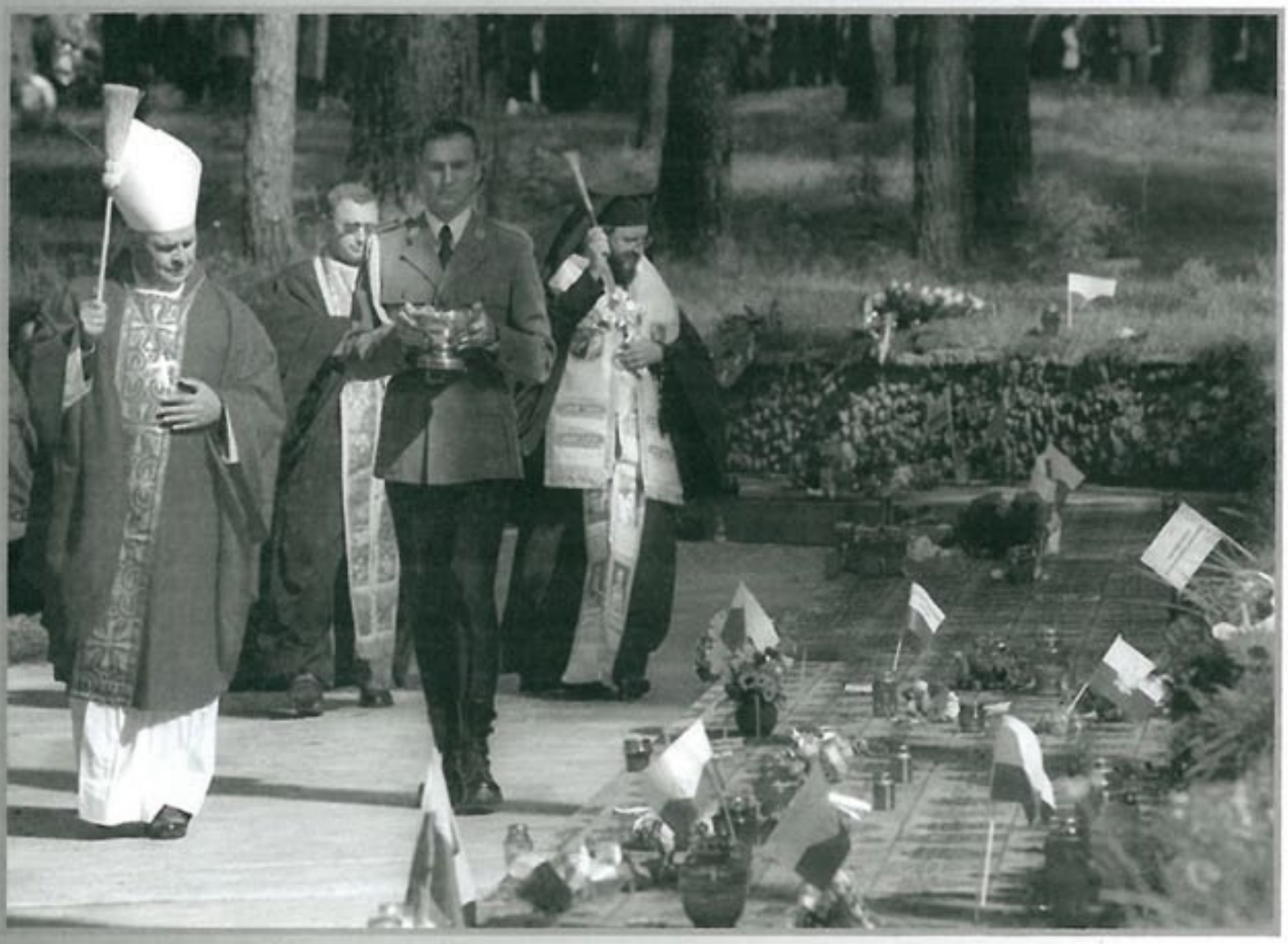

fot.: J. Ostałowski i J. Gruszyński

Zbrodnia katyńska

W Miednoje otwarto cmentarz jeńców Ostaszkowa, zamordowanych w Twerze. Dla polskich policjantów to miejsce jest święte.

W Miednoje koło Tweru (Rosja) został uroczyście otwarty i poświęcony trzeci, największy cmentarz ofiar zbrodni katyńskiej. Spoczywa na nim 6300 więźniów obozu w Ostaszkowie, głównie funkcjonariuszy policji, żandarmerii, Straży Granicznej i Straży Więziennej.

Do Miednoje, na spóźniony o 60 lat, ale uroczysty, dokonany z ceremoniałem religijnym i wojskowym, pogrzeb swoich najbliższych przybyła czterystuosobowa delegacja Rodziny Policyjnej 1939 i Rodzin Katyńskich.

- Charków, Katyń, Miednoje; polski tryptyk bólu i cierpienia. Chcielibyśmy, aby był tryptykiem pamięci narodów, pojednania na Wschodzie - powiedział w sobotę premier Jerzy Buzek, który sprawuje patronat nad obchodami 60. rocznicy zbrodni katyńskiej i który przewodniczył delegacjom państwowym na uroczystościach otwarcia tych trzech polskich cmentarzy wojennych. W Miednoje towarzyszyli mu marszałek Sejmu Maciej Płażyński, minister spraw wewnętrznych i administracji Marek Biernacki, komendant główny policji nadinspektor Jan Michna, parlamentarzyści, przedstawiciele prezydenta, generalicji i korpusu oficerskiego wszystkich formacji mundurowych. Ceremoniału wojskowego dopełniła kompania honorowa policji.

Przybyła delegacja miejscowych Polaków zrzeszonych w stowarzyszeniu „Polonia" z Tweru. Federację Organizacji Polskich w Rosji reprezentowała prezes „Domu Polskiego" z Moskwy, Halina Subotowicz-Romanow.

Uroczystości religijne odprawili zwierzchnicy katolickiego duszpasterstwa policji - bp Marian Duś i wojska bp Sławoj Leszek Głódź; prawosławnego - bp Miron Chodakowski i ewangelickiego - bp Ryszard Borski oraz imam Tomasz Niećkiewicz. Obecny był także administrator apostolski dla katolickiego obrządku łacińskiego europejskiej części Rosji abp Tadeusz Kondrusiewicz. Delegacji władz Rosji przewodniczyli minister spraw wewnętrznych Władymir Ruszajło i minister kultury Michaił Szwydkoj.

Najpierw otwarto rosyjską część cmentarza, kilku tysięcy ofiar NKWD z lat 1937 - 1938. Minister Szwydkoj wyraził nadzieję, że to cmentarzysko obu narodów powinno skłaniać do pojednania. - Ból nas jednoczy, słowo „pamięć" brzmi podobnie i znaczy to samo po polsku i po rosyjsku - rzekł. - Cała Rosja to Katyń. Związek Radziecki to bezkresny obszar cierpienia. Ofiary zbrodni, które spoczywają na tym cmentarzu, nie wróciły do swych rodzin. Dziś ich dzieci, już posiwiałe, mogły wreszcie przybyć tu, by uciszyć ból, czekaliśmy na tę chwilę bardzo długo. Stosunki między ludźmi i między narodami można budować tylko na prawdzie, jej poznanie zbliżyło nas - odpowiedział Andrzej Przewoźnik, sekretarz polskiej Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Wszyscy zabierający głos mówili o pojednaniu i przebaczeniu. Arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz mówił: - Powiedzieć prawdę, ujawnić zbrodnię, to nie znaczy być słabym. To oznaka siły. Cieszę się, że Rosja zaczęła ujawniać tę prawdę, o którą tak długo zabiegaliśmy. Biskup Marian Duś: - Krew pomordowanych nie woła o zemstę. Ich krew woła o pojednanie. Przebaczenie było dopóty niemożliwe, dopóki nad tymi grobami panowała cisza i nikt o nie nie prosił.

Premier Jerzy Buzek: - Rzeczpospolita Polska nie może zapomnieć o wiernych synach leżących na cmentarzach na wschód od naszych granic. Jednym z naszych zobowiązań jest ustalenie i godne pochowanie wszystkich obywateli państwa polskiego poległych i zamordowanych na terytorium byłego ZSRR. Musimy poznać nazwiska żołnierzy, urzędników i cywilów wywiezionych i zamęczonych w łagrach, obozach pracy i więzieniach sowieckich. Musimy, będziemy dochodzić prawdy. Musimy, będziemy domagać się zadośćuczynienia. Mamy wolę przebaczyć, ale przede wszystkim mamy obowiązek pamiętać. My tutaj, w centrum i na wschodzie Europy, jesteśmy narodami złączonymi cierpieniem. Rosyjscy przyjaciele, wy także macie miliony grobów rozsianych na waszej ziemi. Niech wyrządzone krzywdy, niech te rozsiane po całej Rosji cmentarze będą dla nas wspólną pamięcią i ostrzeżeniem dla następnych pokoleń przed zdradą i zbrodnią.

Premier złożył hołd tysiącom policjantów i wszystkim funkcjonariuszom i obywatelom państwa polskiego spoczywającym w Miednoje. - Oni wszystko oddali za wolność i wierność. Oddali życie.

- Ostaszków, Twer, Miednoje. Dla każdego policjanta polskiego to miejsca święte - mówił komendant główny policji, generał Jan Michna. - Gdzie moglibyśmy znaleźć lepsze miejsca do wspominania naszych poprzedników?

W imieniu rodzin ofiar przemówił Witold Banaś, przewodniczący stowarzyszenia Rodzina Policyjna 1939. - Ten cmentarz jest księgą historii Polski. Powinna to być też księga pokoju i pojednania. Śledztwo w sprawie mordu na naszych ojcach nie jest zakończone. My, rodziny, pytamy: dlaczego? Jesteśmy związani z naszymi ojcami nie tylko więzami krwi, ale także poniewierką. Przywieźliśmy tu wspomnienie Polski, przyjechały z nami nie tylko wspomnienia z dzieciństwa, ale i niespełnione nadzieje.

Uroczystości na cmentarzu w Miednoje towarzyszył młody mieszkaniec Tweru Georgij Digienko z flagą Rosji przepasaną kirem i tablicą: Prostitie nas, Poliaki (przebaczcie nam, Polacy).

Premier Jerzy Buzek złożył także kwiaty pod byłą siedzibą NKWD w Twerze. Obecny gospodarz gmachu, rektor Instytutu Medycznego, obiecał, że w piwnicach urządzi izbę pamięci o zamordowanych tam polskich jeńcach.

Andrzej Kaczyński

Zbrodnia i kłamstwo katyńskie

23 sierpnia 1939 r.	- pakt Ribbentrop - Mołotow
17 września 1939 r.	- ZSRR napada na Polskę
19 września 1939 r.	- komisarz spraw wewnętrznych ZSRR Ławrentij Beria rozkazuje NKWD utworzyć osiem obozów specjalnych dla polskich jeńców wojennych; w niewolę radziecką wpadło 10 tysięcy oficerów i 120 tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego oraz 6 tysięcy policjantów
6 października 1939 r.	- Beria rozkazuje skupić oficerów w obozach w Kozielsku i Starobielsku, a policjantów w Ostaszkowie
5 marca 1940 r.	- na wniosek Berii Biuro Polityczne - Stalin, Mołotow, Kalinin, Kaganowicz, Mikojan i Woroszyłow - rozkazuje NKWD rozstrzelać 14 700 polskich jeńców i 11 000 więźniów
3 kwietnia 1940 r.	- pierwszy transport z Kozielska, 4 kwietnia z Ostaszkowa, 5 kwietnia ze Starbielska, koniec „rozładowania" obozów 14 maja; około 4400 jeńców Kozielska zamordowano w Smoleńsku i pogrzebano w Katyniu, około 6300 jeńców Ostaszkowa zamordowano w Twerze (wówczas Kalinin) i pogrzebano w Miednoje, około 3800 jeńców Starobielska zamordowano w Charkowie i pogrzebano w Piatichatkach
13 kwietnia 1943 r.	- Radio Berlin podaje o znalezieniu w lesie katyńskim koło Smoleńska dołów śmierci z ciałami polskich oficerów, zamordowanych wczesną wiosną 1940 r.
1 maja 1943 r.	- międzynarodowa komisja lekarska potwierdza wiosnę 1940 r. jako datę zbrodni
26 września 1943 r.	- armia ZSRR ponownie zajmuje las katyński
24 stycznia 1944 r.	- komunikat radzieckiej komisji Nikołaja Burdenki zrzuca winę za Katyń na Niemców
1 - 3 lipca 1946 r.	- przesłuchania katyńskie w Norymberdze, werdykt Trybunału 30 września 1946 r. nie wspomina o Katyniu
1948 r.	- opublikowanie w Londynie „Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów"
22 grudnia 1952 r.	- raport komisji Kongresu USA potwierdza, że zbrodni katyńskiej dokonał ZSRR
3 marca 1959 r.	- tajny raport Aleksandra Szelepina dla Nikity Chruszczowa: NKWD rozstrzelał w Katyniu 4421, w Charkowie 3820, w Kalininie 6311 jeńców oraz (w nieujawnionych miejscach) 7305 polskich więźniów
13 kwietnia 1990 r.	- ZSRR przyznaje, że sprawcą zbrodni katyńskiej był NKWD, przekazuje stronie polskiej listy przewozowe zamordowanych jeńców i pierwszy raz wskazuje nieznane wcześniej miejsca kaźni w Charkowie i Twerze oraz cmentarzyska w Piatichatkach i Miednoje
14 października 1992 r.	- przekazanie Polsce kopii wydanego przez Stalina i Biuro Polityczne rozkazu rozstrzelania polskich jeńców i więźniów

Galowy koncert w Chicago
120-lecie powstania ZNP

Koncert galowy, zorganizowany 28 sierpnia w audytorium North Shore Center for the Performing Arts w Skokie, stał się kulminacyjnym punktem obchodów 120. rocznicy powołania do życia największej dziś w całej diasporze polonijnej organizacji bratniej pomocy - Związku Narodowego Polskiego. Na obchody przybyli dyrektorzy krajowi ZNP ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych, od Nowej Anglii po Kalifornię - wchodzący w skład Zarządu Centralnego, podobnie jak dostojnicy reprezentujący Radę Nadzorczą Związku (w osobach cenzora Hilarego S. Czaplickiego z Filadelfii i wicecenzora Z. Johna Ordona z Buffalo). Koncert stał się swoistym hołdem złożonym polskiej i amerykańskiej tradycji muzycznej, które wrosły silnie w całą historię tej organizacji. Gala w Skokie była również formą uhonorowania licznych, wybitnych talentów muzycznych i wokalnych wyrosłych z naszego środowiska polonijnego, a dziś wysoko cenionych na zawodowej amerykańskiej scenie artystycznej.

Tegoroczne sierpniowe obchody jubileuszu ZNP wiążą się z kluczowymi wydarzeniami i datami w dziejach tej organizacji, o których wie się powszechnie niewiele, dlatego też warto przy tej sposobności je przypomnieć. Idea powszechnej ogólnoamerykańskiej patriotycznej organizacji Polaków, zdolnych sobie pomóc w Stanach w uzyskaniu lepszej pozycji społecznej i politycznej, a także gotowych wywierać za Oceanem wpływ na proces odrodzenia ich ojczyzny, złączyła i zdeterminowała do działania grupę emigrantów, Polaków - patriotów, którzy spotkali się 15 lutego 1880 r. w Filadelfii dla powołania do życia nowego stowarzyszenia. Byli to, określani dziś jako „ojcowie - założyciele" Związku: Juliusz Andrzejkowicz, Jan Blachowski, Julian Lipiński, Juliusz Szajnert i Jan Popieliński. W czerwcu tegoż 1880 r., w szeregu pism polskich w Stanach ukazały się „statuty", czyli przygotowane przez grono założycieli zarysy programu tej organizacji, dla zapoznania z jej celami ogółu rodaków w Ameryce, a w ślad za tym zaczęły pojawiać się listy towarzystw, które zgłosiły akces, czyli przystąpiły do Związku.

Przypomnijmy listę tych pierwszych, pionierskich placówek: Towarzystwo Bratniej Pomocy w Berea z Ohio, Gmina Polska w Chicago, Towarzystwo Kościuszki w tym mieście, Towarzystwo Polskie w Kalifornii, Towarzystwo św. Jerzego z Shenandoah w Pensylwanii, Towarzystwo Narodowe z Grand Rapids w Michigan, Towarzystwo św. Krzyża w Chicago, Gwardia Kościuszki w Nanticoke z Pensylwanii, Zjednoczenie Polskie w Nowym Jorku, Gwardia Warszawska z Shenandoah w Pensylwanii, Towarzystwo Pułaskiego w Brooklynie (Nowy Jork), „Lutnia" w Nowym Jorku i Wolni Strzelcy z Nowego Jorku.

W oparciu o entuzjastyczny odzew grono założycieli z Filadelfii uznało, że nowa organizacja - pod nazwą Związek Narodowy Polski Ameryki Północnej - stała się faktem i dokonało 9 sierpnia 1880 r. wyboru przywództwa, obierając pierwszym cenzorem, czyli głównym zarządcą Związku, powszechnie szanowanego przedsiębiorcę, Juliusza Andrzejkowicza. Powierzono mu prawo do podejmowania kluczowych decyzji, zresztą kontynuowanych i respektowanych po dziś dzień, m.in. inicjatywę zwoływania sejmów krajowych, z których pierwszy odbył się w dniach 20 - 24 września 1880 r. w Chicago.

Z listy przedstawionych deklaracji wynikało, że do nowej organizacji przystąpiło 18 stowarzyszeń, zaś liczba członków w sumie wynosiła wówczas 758. Posłów na Sejmie było raptem 13, ale każdy z nich odegrał później dużą rolę w dziejach organizacji, dlatego warto przypomnieć ich nazwiska. Byli to: Juliusz Andrzejkowicz, Stanisław Kociemski, Roman Stobiecki, Franciszek Sowadzki, Konstanty Mallek, Józef Krzemieniecki, Franciszek Gryglaszewski, Franciszek Burhardt, Ignacy Wędziński, Wincenty Domański, Maksymilian Kucera, Edward Wikoszewski i Władysław Dyniewicz.

Obrady pierwszego Sejmu w Chicago poprowadził Juliusz Andrzejkowicz, jako wcześniej wybrany cenzor, ale wyłonione władze krajowe wprowadziły na arenę nowe nazwiska i indywidualności. Pierwszym prezesem Związku został Maksymilian Kucera z Chicago, zamożny przedsiębiorca, który doszedł do tej pozycji o własnych siłach, zaczynając jako emigrant od pracy w odlewniach stali. Wiceprezesem wybrano Józefa Rewerskiego, również z Chicago, sekretarzem - Edwarda Odrowąża z Nowego Jorku, byłego powstańca styczniowego, który niebawem został pierwszym redaktorem „Zgody", wicesekretarzem - Henryka Zielińskiego z Chicago, kasjerem (czyli skarbnikiem) - Stanisława Kociemskiego z Chicago, zaradnego przedsiębiorcę, a radcą prawnym - Franciszka Burhardta z Milwaukee.

Zjazd zapowiedział wydanie powszechnego orędzia do wszystkich polskich parafii w Stanach Zjednoczonych oraz istniejących stowarzyszeń, aby dołączyły one do Związku. Postanowił też zorganizować i utrzymywać Domy Polskie w Nowym Jorku, Filadelfii i Chicago, jako główne punkty oparcia Związku i jego regionalne biura. Już wówczas rzucono ideę pilnego powołania do życia własnego pisma organizacyjnego, ale narodziny „Zgody" dokonały się dopiero za rok - na następnym Sejmie w Nowym Jorku. Ważne było przede wszystkim to, że nowa organizacja bardzo jasno postawiła swoje cele przed emigrantami. Głosiła, że jej troską jest „kłaść fundamenty pod instytucje niezbędne dla dalszego rozwoju - materialnego i moralnego - „żywiołu polskiego" poprzez tworzenie sieci polskich szkół i domów polskich, podobnie jak czytelni, bibliotek, ochronek dla dzieci polskich, zakładów naukowych, jak też przemysłowych w odpowiednio korzystnych miejscach".

Postanowiono stworzyć polskie lobby polityczne dla osiągnięcia ostatecznego celu, jakim było odzyskanie przez Polskę niepodległości i suwerenności państwowej, poprzez wejście w amerykańskie życie polityczne i przyjęcie obywatelstwa kraju osiedlenia, kładąc szczególny nacisk na wejście w dobre układy z dziennikarzami i prasą „dla obrony naszych interesów". Deklaracją pierwszego Sejmu anonsowano także zasadę bratniej pomocy, tj. zabezpieczania materialnego rodzin zmarłych członków. Anonsowano również organizowanie obchodów pamiątkowych w Stanach Zjednoczonych „wszelkich rocznic ku czci Polski i wypełnianie obowiązków nakazanych hono-

rem narodowym". Ustanowiono przedstawicieli Związku w kraju, a także rozpoczęcie szerszej kampanii dla „powstrzymania tak licznej emigracji Polaków z Ojczyzny do Ameryki". Jakże aktualne i dalekowzroczne okazują się dziś ówczesne cele ojców - założycieli ZNP.

Związek Narodowy Polski przebył przez minione 120 lat długą drogę. Z organizacji samotnych emigrantów, stawiających pierwsze kroki na nowej ziemi i rozproszonych w tym wielkim kraju patriotów, przekształcił się w wielką rodzinę Polaków w Stanach Zjednoczonych, z których ogromną część stanowią dziś Amerykanie polskiego pochodzenia, już w którymś pokoleniu. Oznacza to, że ZNP jest nie tylko zdecydowanie ustabilizowaną instytucją, ale i częścią tutejszego establishmentu - z ćwierć milionową armią swoich członków i silną siecią co najmniej w 37 stanach Ameryki. Organizacja, która startowała w roku 1880 z majątkiem 255 dolarów i 79 centów, zebranym w formie składki w gronie jej założycieli, dziś jest ważną amerykańską korporacją bratnich ubezpieczeń na życie, powiązaną w dodatku z szeregiem wspierających ją instytucji, takich jak własny bank FSB „Alliance" w Niles, stacja radiowa WPNA w Oak Park (Illinois) czy przedsiębiorstwo wydawnicze Alliance Printers & Publishers, które publikuje „Dziennik Związkowy", „Kalejdoskop" i najstarszą „Zgodę". Jej skumulowany majątek oceniany jest na 400 milionów dolarów. Żadna z polskich organizacji na świecie nie zbliżyła się nawet do rozległości członkowskiej bazy i siły materialnej, jaką przez minione stulecie i dwie dekady zbudowały pokolenia działaczy ZNP.

•

Letni koncert galowy w Skokie, sponsorowany przez Związek Narodowy Polski, został pomyślany jako hołd złożony bliskim nam wspólnie tradycjom - polskości i amerykańskości. Rozpoczął go sarmacki Mazur z opery Stanisława Moniuszki „Straszny dwór" w wykonaniu reprezentacyjnego zespołu pieśni i tańca „Wici", działającego pod patronatem Związku, a zakończyła wiązanka najpopularniejszych tematów i melodii amerykańskich w wykonaniu świetnego zespołu Symphony II, pod batutą Mariusza Smolija - jednego z najwyżej notowanych obecnie w tym kraju dyrygentów polskiego pochodzenia. Zespół ten otworzył także drugą część koncertu „Wariacjami na temat Ameryki". Polskimi akcentami repertuaru były: uwertura do opery Stanisława Moniuszki „Paria", polonez „Pożegnanie Ojczyzny" Michała Kleofasa Ogińskiego i „Odwieczne Pieśni" Mieczysława Karłowicza.

Ale koncert przygotowany na jubileusz Związku Narodowego Polskiego w Centrum Sztuk Widowiskowych stał się przede wszystkim popisem talentów polskich i polsko-amerykańskich w dziedzinie śpiewu operowego oraz wirtuozerii skrzypcowej oraz pianistycznej. Na estradę Centrum w Skokie wkroczyły trzy sławy wokalne reprezentujące Polonię różnych pokoleń - wykształcona w Stanach Melania Tomaszkiewicz z Chicago, przybyły w latach osiemdziesiątych doskonały i bardzo popularny w kręgach nowej Polonii tenor Józef Homik, który swoją karierę rozpoczął na polskich scenach operowych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (po dwukrotnym wygraniu konkursu śpiewaczego im. Jana Kiepury), wreszcie najmłodsza z tego grona, robiąca na naszych oczach wielką, międzynarodową wręcz, karierę, mezzosopranistka Edyta Kulczak, która przyjechała do Ameryki zaledwie przed dwoma laty, a już zdołała wygrać włoski konkurs wokalny w Chicago, wyjechać do Japonii i Włoch, a także śpiewać w Los Angeles, w tamtejszej operze.

Wokaliści wystąpili w arcypolskim repertuarze (arii „Szumią jodły na gór szczycie" z opery „Halka" St. Moniuszki i dumce Jadwigi ze „Strasznego dworu" tegoż kompozytora), ale i w popisowym klasycznym repertuarze operowym (duet z opery „Lakme" Leo Delibesa oraz równie słynny duet z „Traviaty" Giuseppe Verdiego). Specjalnym punktem programu i ukłonem w stronę obecnego prezesa ZNP, Edwarda Moskala, był duet „Pie Jesu" z głośnego „Requiem" Andrew Lloyda Webera. Jednym słowem, wykonawcy pojawili się z programem, który musiał się spodobać publiczności - pozostanie naprawdę długo w naszej pamięci.

Podczas koncertu w Skokie zaprezentowało się też dwóch doskonałych polskich wirtuozów skrzypiec i fortepianu, występujących od lat w Stanach. Andrzej Grabiec, związany ze sceną i szkołą muzyczną w Houston, ma na swoim koncie zwycięstwo w konkursie skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego, tournee po wielu krajach świata, nie wyłączając Australii, Meksyku i Kanady oraz pracę z wieloma amerykańskimi zespołami (koncertmaster w Rochester Philharmony, solista American Sinfonietta, wykonawca na festiwalu muzycznym w Sarasocie na Florydzie). Na koncercie galowym wystąpił z pięknymi kompozycjami Henryka Wieniawskiego „Legenda" i „Obertas", napisanymi dla mistrzów skrzypiec, takich jak on.

Profesor Paweł Chęciński, rezydujący już od paru dekad w Chicago i prowadzący klasę fortepianu w Chicago Musical College Roosevelt University, nie wymaga rekomendacji. Uczeń Zbigniewa Drzewieckiego i Ryszarda Baksta, trafił także do słynnej nowojorskiej szkoły muzycznej Juillarda, gdzie doskonalił swe umiejętności pod okiem Mieczysława Munza, Leona Fleishera oraz legendarnego Claudio Arrau. Znakomity wykonawca i interpretator muzyki Fryderyka Chopina zebrał huragany braw od publiczności polonijnej.

Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca „Wici", który działa pod Opieką Związku Narodowego Polskiego od roku 1983, w ostatnich latach odnosi coraz większe sukcesy. Kierowany od początku przez choreografkę Magdalenę Solarz, nie tylko wielokrotnie odwiedzał Polskę, gdzie był entuzjastycznie witany i nagradzany, ale coraz częściej bywa zapraszany do profesjonalnych przedstawień. „Wici" występowały we wszystkich głównych produkcjach The International Music Theater, wliczając w to oczywiście „Straszny dwór" oraz „Halkę" oraz wzięły udział przed dwoma laty w „Polskim Betlejem". Twin Cities Ballet Company zaprosiło tancerzy „Wici" do udziału w ich wystawieniu „Coppelli", „Dziadka do orzechów" oraz „Jeziora łabędziego", zaś Opera DuPage do operetek „Baron Cygański" i „Zemsta".

Na koniec słowo o Mariuszu Smoliju, którego nasza społeczność miała już sposobność słyszeć i widzieć nie raz, choćby przy okazji niezapomnianych wykonań „Nieszporów Ludźmierskich" Jana Kantego Pawluśkiewicza w katedrze św. Trójcy oraz kościele św. Jacka w Chicago. Jest on obecnie związany z Houston Symphony Orchestra, uchodzącą za jedną z najlepszych w tym kraju. W ostatnich latach dyrygował zespołem New Jersey. Symphony Orchestra,

a wcześniej Riverside Symphonia z Lambertville w New Jersey. Wywodzący się z Katowic mistrz batuty był w swoim czasie założycielem i jednocześnie solistą słynnego Kwartetu Krzysztofa Pendereckiego, który odnosił wielkie sukcesy podczas tournee po Włoszech, Francji, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Jest to kolejny polski talent, którego spektakularna kariera w Ameryce dopiero się rozpoczęła. Zespół Symphony II, którym Mariusz Smolij kieruje, obchodził właśnie swoje dziesięciolecie. Jego nagrania zdobyły trzy amerykańskie Grammy Awards.

Po muzycznej uczcie nastąpiło imponujące przyjęcie dla niemal 1000 gości w foyer Centrum. Warto dodać, że wśród nich znaleźli się liczni przedstawiciele władz stanowych, z prokuratorem Jimem Ryanem i skarbnikiem Judy Baar-Topinka na czele, jak też reprezentanci do spraw etnicznych gubernatora stanu. Na koncert przybyli także zaproszeni przedstawiciele konsulatów Rzeczypospolitej Polskiej, Republiki Litewskiej i Ukrainy.

Galowy koncert w Skokie przygotowany dla uczczenia 120. rocznicy istnienia Związku Narodowego Polskiego dał polonijnej społeczności Chicago sposobność uczestniczenia w naprawdę pięknym wydarzeniu muzycznym i kulturalnym. Bezsprzecznie przysporzył obecnym licznych, głębokich i prawdziwych wzruszeń artystycznych. Będzie się go długo pamiętać.

Wojciech A. Wierzewski, Chicago

VI Zjazd Nauczycieli w Los Angeles

Pod hasłem „Oświata polonijna w nowym Milenium" odbył się w Los Angeles VI Zjazd Nauczycieli Polonijnych i Komitetów Rodzicielskich. Po raz pierwszy na miejsce zjazdu, zorganizowanego przez Forum Nauczycieli Polonijnych Zachodniego Wybrzeża i Komisję Oświatową Kongresu Polonii Amerykańskiej, wybrano Kalifornię. Przyczynił się do tego nie tyle ciepły klimat „złotego stanu" i tradycyjna gościnność jego mieszkańców, co dynamiczny rozwój szkolnictwa polonijnego na tym terenie, zamieszkałym przez około 600 tysięcy Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia. Wcześniejsze zjazdy nauczycieli polonijnych odbyły się w Cambridge Springs w Pensylwanii (1985 i 1987 r.), Waszyngtonie (1991 r.), Mundelein koło Chicago oraz Nowym Jorku.

Tradycyjnie już termin zjazdu wyznaczono w tzw. Memorial Day Weekend, wypadający tym razem w dniach 26 - 29 maja. Miejscem obrad był tonący w zieleni Uniwersytet Kalifornii w Los Angeles (UCLA), do którego przybyło ponad 270 nauczycieli reprezentujących szkoły polonijne z Kalifornii, Connecticut, New York, New Jersey oraz Illinois. Wśród gości zagranicznych byli: Aleksandra Podhorecka - prezes Polskiej Macierzy Szkolnej w Wielkiej Brytanii, Jolanta Kuśmider - prezes Zrzeszenia Nauczycieli Polskich w Kanadzie, Krystyna Orłowicz-Sadowska ze Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Nazareth" we Francji, prof. Jan Mazur z Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie, dr Joanna Wójtowicz z Polonijnego Centrum Nauczycielskiego w Lublinie oraz członek Rady Krajowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" i dyrektor Domu Polonii w Krakowie dr Krystyna Gąsowska.

Uroczyste otwarcie VI Zjazdu Nauczycieli Polonijnych rozpoczęło się wprowadzeniem flag oraz odśpiewaniem polskiego i amerykańskiego hymnu narodowego. Po powitaniu i okolicznościowych przemówieniach organizatorów zjazdu, tj. Elżbiety Rudzińskiej z Forum Nauczycieli Polonijnych Zachodniego Wybrzeża i Mieczysława Dutkowskiego z Kongresu Polonii Amerykańskiej Południowej Kalifornii, głos zabrał Krzysztof Kasprzyk, konsul generalny RP w Los Angeles oraz dr Edmund Osysko, przewodniczący Komisji Oświatowej Kongresu Polonii Amerykańskiej. Uroczystość otwarcia zjazdu zakończyła się wręczeniem przez konsula K. Kasprzyka odznaczeń Ministerstwa Edukacji Narodowej, które otrzymały panie Halina Kosińska z Phoenix i Elżbieta Rudzińska z Los Angeles. Należy też wyrazić słowa uznania dla E. Rudzińskiej, która zorganizowała i sprawnie poprowadziła ten zjazd z udziałem trzystu osób.

W pierwszym dniu obrad z referatami wystąpili prof. Paul Knoll z Uniwersytetu Stanowego południowej Kalifornii oraz prof. Jan Mazur, który mówił o znaczeniu i roli języka polskiego we współczesnym świecie. Dr Joanna Wójtowicz przedstawiła metody kształcenia nauczycieli polonijnych, realizowane przez Centrum Nauczycielskie w Lublinie. Nazajutrz, podczas sesji ogólnej, głos zabrała Jolanta Szulc z Nowego Jorku, wybrana w trakcie zjazdu na dyrektora wykonawczego Komisji Oświatowej Kongresu Polonii Amerykańskiej, która wygłosiła referat na temat roli internetu w oświacie polonijnej. Po sesji ogólnej rozpoczęły się warsztaty metodyczne w sześciu grupach roboczych. Nauczyciele omawiali problemy metodyki nauczania języka polskiego, zarówno w szkole podstawowej, jak i klasach gimnazjalnych, zaś dyrektorzy szkół i przedstawiciele komitetów rodzicielskich zastanawiali się nad metodami kierowania szkołami polonijnymi.

Liczbę tego typu placówek w USA szacuje się na około 200 i działają one w dwudziestu dwóch stanach. Większość szkół (około 140) zrzeszonych jest w czterech ośrodkach oświatowych Polonii: Centrali Polskich Szkół Dokształcających w Nowym Jorku, Zrzeszeniu Nauczycieli Polskich w Chicago, Ośrodku Szkolnictwa Polskiego w Detroit oraz Forum Nauczycieli Polskich Zachodniego Wybrzeża. Ogólnoamerykańskim koordynatorem tego systemu jest Komisja Oświatowa Kongresu Polonii Amerykańskiej. Szkolnictwo polonijne w Ameryce to kilkuset nauczycieli i kilkadziesiąt tysięcy uczniów, wśród których są zarówno dzieci, jak i młodzież. Wielkość szkół zależna jest od liczebności Polonii w danym rejonie oraz jej związków z kulturą polską. Największą szkołą polonijną w USA jest Szkoła im. Tadeusza Kościuszki w Chicago, licząca 1300 uczniów. Pozostałe mają od 20 do 400 uczniów.

Przedmioty w nich wykładane można podzielić na zasadnicze, tj. język polski, którego używanie wskazane jest nie tylko podczas zajęć, ale także w kontaktach osobistych między uczniami, historia i geografia oraz uzupełniające, jak taniec ludowy i nauka śpiewania polskich piosenek, które mają służyć podtrzymywaniu polskiej tradycji i kultury. Wszystkie szkoły w ramach programu nauczania przygotowują przedstawienia z okazji czy Dnia Polskiej Szkoły, uroczyście obchodzą polskie

święta narodowe oraz organizują różnego rodzaju zabawy, pikniki i konkursy.

Wśród imprez dla dzieci organizowanych w ciągu roku szkolnego najpopularniejsze są Jasełka i Hallowe'en, zaś w środowisku szkolnym Chicago - gdzie istnieje 15 szkół z klasami gimnazjalnymi - powodzeniem cieszą się studniówki organizowane dla przyszłych maturzystów. Różnego rodzaju zajęcia pozaszkolne stanowią nie tylko atrakcję w programie zajęć szkolnych, ale także zbliżają uczniów i ich rodziców do szkoły.

Jeżeli chodzi o przyziemną stronę funkcjonowania sobotnich szkół polonijnych to utrzymywane są one z trzech źródeł: czesnego, dotacji od instytucji i osób prywatnych oraz dochodów pochodzących z organizowanych przez szkołę imprez i zabaw, np. loterii fantowych, zabaw dla dorosłych, występów artystycznych. Opiekę nad budżetem szkoły sprawuje najczęściej Komitet Rodzicielski, często razem z kierownictwem szkoły. Rola Komitetów, których przedstawiciele brali udział w VI Zjeździe, jest w szkolnictwie polonijnym bardzo ważna. Ich celem jest nie tylko pozyskiwanie funduszy, ale także organizacja strony prawnej działalności szkół polonijnych, funkcjonujących najczęściej pod auspicjami parafii, rzadziej organizacji polonijnych.

Dyrektorzy szkół polonijnych zwracali szczególną uwagę na tzw. Polish Regents, tj. egzamin z języka polskiego, którego zdanie na szczeblu stanowym daje w High Schooll 3 kredyty, ponieważ język polski jest tam traktowany jako obcy. Istnieją również egzaminy Regents na szczeblu szkół średnich, dające kredyty uwzględniane przez niektóre wyższe uczelnie, jednak jest to zróżnicowane, ponieważ każdy stan prowadzi własną politykę oświatową.

W rozmowach z przedstawicielami strony polskiej dyrektorzy pytali o możliwość pomocy Ministerstwa Edukacji Narodowej w promocji języka polskiego oraz interesowali się kursami metodycznymi dla nauczycieli polonijnych organizowanymi w Polsce. Dr Joanna Wójtowicz zwróciła uwagę na możliwość pozyskania informacji o tego rodzaju kursach za pośrednictwem strony internetowej Ministerstwa.

Przedstawicielka „Wspólnoty Polskiej", dr Krystyna Gąsowska, przedstawiła szeroką informację o działalności Stowarzyszenia w zakresie oświaty. Z różnorodnych form działania „Wspólnoty Polskiej" dyrektorów szkół polonijnych najbardziej zainteresowała pomoc w zakresie materiałów dydaktycznych, uczestnictwo w kursach i obozach językowo-krajoznawczych, organizowanych na terenie Polski, a także współpraca w ramach programu szkół partnerskich. Dyrektorzy i przedstawiciele Komitetów Rodzicielskich otrzymali wykaz adresów internetowych Biura Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" i Domów Polonii oraz ponad sto informatorów „Wspólnoty".

W ostatnim dniu obrad, podsumowującym VI Zjazd, jego uczestnicy zgodnie stwierdzili, iż podobnie jak w poprzednim wieku także w tym nadchodzącym nauczyciele polonijni będą twórcami tożsamości narodowej 10-milionowej grupy Polonii amerykańskiej. *(UH)*

Od prawej: M. Dutkowski, K. Orłowicz-Sadowska, F. Kosowicz, J. Wójtowicz, K. Gąsowska

Piknik „Pod kasztanem"

Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego w Szwajcarii Dniem Dziecka ogłoszono 20 listopada. Z reguły jest wtedy bardzo zimno - lodowate wietrzysko przeszkadza zabawom przygotowanym w ramach festynu i gasi dziecięce lampiony podczas wieczornego pochodu, a świętujące maluchy przemarznięte zmykają do domów. Na szczęście nasze polskie dzieci od czterech lat mają swoje święto w terminie niezbyt odległym od 1 czerwca, nadal obowiązującego w Polsce jako Dzień Dziecka. Małżonka pana Ambasadora, pani Mirosława Jędrys, wprowadziła w Bernie piękną tradycję spotkań z dziećmi w ogrodzie Ambasady Polskiej. Pikniki są zawsze „pod tytułem" i z konkursami. Program przygotowują kolejno polskie szkoły. W ubiegłych latach prezentowały się Bazylea i Berno, w tym roku przewodnictwo przypadło w udziale Fryburgowi. Jako temat przewodni obrano „język giętki" oraz zabawy z poezją Juliana Tuwima i Jana Brzechwy; poza tym przewidziano konkurs na najbardziej pomysłowe nakrycie głowy.

Dzieci z Fryburga zaprezentowały oryginalną kolekcję strojów, będących wariacjami na tematy szkolne: kimona i poncho á la zeszyty czy piórnik; pióropusz indiański z powtykanymi weń przyborami szkolnymi, ołówki i kredki jako element uzupełniający fryzurę. Na uzdolnienia artystyczne wskazywały też wdzianka z fortepianową klawiaturą czy też pracami malarskimi.

Poprzez gąszcz trudności językowych zgromadzone bractwo prowadziła Jej Bakałarska Mość - Academia Polonica. Dzieci deklamowały bardzo trudne teksty M. Strzałkowskiej, w których roiło się od gżegżółek, chaszczy, kszyków, szczawiu, szczygłów, pszczół, pliszek, liszek... Uff!.. Dowiedzieliśmy się m.in., że chrząszcz zapragnął odmiany, więc miast brzmieć, tarza się w trzcinie; zaś w Trzemesznie straszy jeszcze wytrzeszcz oczu strzyg... Z ogromnym podziwem słuchałam dzieci kształconych w Szwajcarii, które sprawnością językową mogłyby zaimponować swym rówieśnikom w Polsce.

I brzmiały dźwięki różniste także podczas zabaw z poezją Juliana Tuwima i Jana Brzechwy w wykonaniu uczniów szkół w Bernie i Bazylei. Maleństwa, które się przy mikrofonie nie produkowały, „wyszły na swoje", pomagając dziadkowi, co rwał rzepkę i wszyscy do niego na przyczepkę; a ta przedziwna rzepka wystrzeliła w dziatwę słodyczami. No, a do konkursu na najciekawsze nakrycie głowy przystąpiły dzieła nie lada - bocianie gniazda, łąki, garnek ze zdrową żywnością, góra lodowa z Pingu, modny Pikachu, błyskawica, kakało (z podkreśleniem na „!")... Wyliczyć ich nie zdołam. Zabawa była świetna, z przerwą na poczęstunek, a jakże. Tym, którzy mają dostęp do internetu, polecam stron www.polonia.ch. Już wieczorem po za kończeniu pikniku, został tam zamiesz czony reportaż zdjęciowy. Autorz świetnie uchwycili atmosferę spotkania prześwietloną słońcem zieloność ogro du, dostojny kasztan udzielający cienia gospodarzy otwierających piknik, boha terów programu, okazały jęzor wypo wiadający za Juliuszem Słowackim mo to „Chodzi mi o to, aby język giętki po wiedział wszystko, co pomyśli głowa" lokomotywę integrującą dzieci w zaba wie, dzieła sztuki na głowach...

I na zakończenie przyjdzie mi tylk dodać, że ścisku przy mikrofonie ni było, gdy zaproszeni zostali do nieg dorośli, by pochwalić się własną spraw nością językową i powtórzyć zdania „Lojalna Jola wyindywidualizowała si z rozentuzjazmowanego tłumu i stwier dziła, że w czasie suszy szosa sucha oraz „Na stoliku z powyłamywanym nogami stała szklaneczka najdestylizo waniuchniejszej wody".

Demostenes, trenując swą wymowę mełł w ustach kamyki - nam biegła w fa chu Academia Polonica incognito zasu gerowała słodkie ćwiczenia logopedycz ne, polegające na zamaszystym lizani lizaków językiem (a nie leniwym ic wkładaniu do otworów gębowych).

Barbara Tschopp-Nowa

Program prowadziły: Grażyna Pietkie wicz ze Szkoły we Fryburgu, Maria Ste fański ze Szkoły w Bernie, Małgorzat Lityńska i Anna Smurzyńska ze Szkoł w Bazylei.

Szwecja - Polska

O tym, jak dzisiaj wyglądają kontakty między Polską i Szwecją, jaki wpływ miały na nie historia i kultura obu narodów, opowiada dwujęzyczna antologia pt. „Szwecja-Polska. Lata rywalizacji i przyjaźni", wydana w 1999 r. przez Instytut Szwedzki w Sztokholmie. Antologię przygotowała Joanna Nicklasson-Młynarska, córka artysty malarza Mieczysława Młynarskiego, warszawianka, mieszkająca od 1972 roku w Szwecji. Na Uniwersytecie w Lund ukończyła Instytut Pedagogiki, Historii Literatury i Języków Słowiańskich oraz szkołę malarską Kursverksamheten. Jest wykładowcą języka polskiego na Uniwersytecie w Lund i w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Malmö oraz autorką publikacji dydaktycznych, m.in. „Polska direct" (podręcznik z kasetą video), a także przewodników po Polsce „Polen - resa i tid och rum" (1991, 1997). W 1994 roku została odznaczona przez prezydenta RP Lecha Wałęsę Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP.

Antologię otwiera „Sztokholmskie spotkanie z prof. Jerzym Einhornem", pochodzącym z Częstochowy światowej sławy lekarzem, szefem największej w Szwecji Kliniki Onkologicznej, posłem do szwedzkiego parlamentu, członkiem Fundacji Nobl i autorem dwu książek. W rozmowie z J. Nicklasson-Młynarsk prof. Einhorn opowiada o swoim życiu, o tym, jak w czasie woj ny poczuł „głód" nauki, jak przyjechał w 1946 roku do Szwecj i jak chciał być „prawdziwym doktorem". O wiedzy mieszkań ców Szwecji na temat bliskiego sąsiada, jakim jest Polska, prof Einhorn opowiada następująco: „W 1946 roku Polska leżał w ruinach. Moje miasto rodzinne Częstochowa jest w polskic podręcznikach do historii szeroko opisywane, a obrona klasztor na Jasnej Górze uważana jest za punkt zwrotny w ekspansji Szwe cji na Europę. Ale w Szwecji nikt nie słyszał o obronie Często chowy w 1655 roku - każdy kraj tworzy swoją własną historię" W opinii prof. Einhorna Szwecja jest krajem wielkich szans w którym każdy ma możliwość zdobycia wyższego wykształceni i zajęcia się pracą naukową niezależnie od sytuacji finansowej O swojej autobiograficznej opowieści „Wybrany, aby żyć", któr

napisał zbliżając się do siedemdziesiątki, mówi: „Piszę o ludziach, których spotkałem, o wydarzeniach, które przeżyłem, o wojnie i zagładzie, o wartościach i zasadach humanizmu. To było dla mnie bardzo ważne, by przekazać wiedzę o tym, jak niszcząca jest wojna, o tym, że pokój nie jest niczym oczywistym". Przyszłość Polski prof. Einhorn widzi optymistycznie, choć w kontekście nauki płynącej z historii mówi: „Polska spełnia wszystkie warunki, aby być w czołówce wolnego świata, do tego potrzeba jednak zaufania ze strony krajów europejskich, krajów, które nie muszą przeprowadzać bolesnych zmian strukturalnych. Na to zaufanie Polacy i ich przywódcy już sobie zasłużyli. Z właściwą pomocą Polska może stać się wzorem dla innych krajów, które idą ku wolności. W dziejach swych naród polski doznał zawodu wiele razy. Polska potrzebuje więc przyjaciół wiernych i niezawodnych, którzy wzajemnie mogą liczyć na poparcie i pomoc ze strony Polski, kraju, który jest i był zawsze wiernym przyjacielem".

Z kolei Mika Larsson, szwedzka dziennikarka, dla której spotkanie z Polską stało się „podróżą poznawczą", naszkicowała swoje spostrzeżenia w kilku interesujących obrazkach, zatytułowanych „Mój sąsiad u szerokiej wody". Na wstępie wyjaśnia: „Gdy sięgnęłam wstecz pamięcią, pojęłam od jak dawna trwa moja polska miłość - ponad trzydzieści lat! Nic dziwnego, że wspomnienia przebijają się nieustannie i często nieoczekiwanie; moja Szwecja i moja Polska - te dwa nurty wspomnień, które przeglądając się wzajem w sobie, syciły me życie treścią". Autorka tych wspomnień spotkała się z Polską w 1966 roku w Paryżu, dokąd jako 21-letnia dziewczyna udała się w podróż na Zachód, uciekając przed modelem bezpiecznego życia, w którym została wychowana. W saloniku Domu Szwedzkiego w paryskiej dzielnicy uniwersyteckiej poznała Polaka, pełniącego funkcję gościnnego profesora fizyki teoretycznej na Sorbonie, z którym rok później przyjechała do Polski. Poznała utwory Fryderyka Chopina i zrozumiała, że są bezpośrednim komentarzem do nieszczęsnych, dramatycznych losów Polski. Zastanawiała się, czym jest naprawdę bieda, gdy zobaczyła szczęśliwe i gościnne rodziny, gnieżdżące się w pokoikach jednego dużego mieszkania ze wspólną kuchnią i łazienką na ulicy Polnej w Warszawie. Pokochała tam polskie piosenki partyzanckie, które śpiewała podwórkowa kapela pod akompaniament akordeonu i skrzypiec. Kiedy w 1980 r. przyjechała do Polski jako korespondent zagraniczny, stojąc przed bramą Stoczni Gdańskiej miała szansę śledzić, jak Polacy piszą historię świata i obserwować, co dzieje się z językiem, który wyrywa się z reguł narzuconych przez cenzurę i jaką niesamowitą siłę wybuchową stanowi prawda. W obrazku „Dwie planety" autorka, zastanawiając się, jak dwa sąsiadujące narody mogą być tak odmienne, podaje ciekawą charakterystykę Szwedów i Polaków: „Pierwszy naród - zeświecczony do cna, drugi - jeden z najbardziej pobożnych ludów. Jeden - skłonny do kolektywizmu i wiary w „dobrą władzę", drugi - spleciony indywidualizm, który we „władzy", tzn. w rządzących, upatruje narzędzie zniewolenia i ciągle zrywa się do buntu, choćby i bez szans. Pierwszy - niewiarygodnie pozbawiony historii, ale żyjący w przekonaniu, że sam kształtuje własną przyszłość. Drugi - pozbawiony wpływu na swą przyszłość, lecz tak intensywnie tkwiący we własnej historii, że historia, jako język symboli, niemal stapia się z teraźniejszością. U jednego - dążenie do umiaru, do równości; u drugiego - wybranie, elitaryzm. Życie jednego - pewnie zakotwiczone w racjonalnej tożsamości, życie drugiego - związane z kulturą i sztuką, które stają się kanałem i potwierdzeniem dla przetrwania narodu". Natomiast w „Epilogu", podsumowując swoje doświadczenia z pięcioletniej pracy w Polsce, jako attaché kulturalny pod koniec lat dziewięćdziesiątych, z troską pisze: „Kultura, sztuka - są coraz bardziej osamotnione, podobnie jak u nas, w Szwecji. Mam nadzieję, że ci, którzy umieli przetrwać wszystko, moi ukochani Polacy, zajmą się warunkami, w jakich znalazła się dziś sztuka, zanim uschną jej korzenie. Mam nadzieję, że dowiodą nam, iż w obliczu jaskrawych podniet materialnych nie stracili z oczu owej szerszej i dalszej perspektywy, rozpiętej ponad codziennością, że zachowali to, co dla mnie i dla tysięcy, setek tysięcy innych, czyni z nich ludzi tak szczególnych".

Szwecja–Polska

Lata rywalizacji i przyjaźni

Polen och Sverige: År av rivalitet och vänskap

W antologii „Szwecja-Polska" na dalszych stronach znajdujemy niemniej ciekawe szkice zawierające wiele cennych informacji oraz refleksji na temat rywalizacji i przyjaźni obu narodów, skreślonych piórami autorów polskich i szwedzkich. Relacje między obu narodami na tle stosunków kulturalnych i politycznych obu państw przedstawiają w ujęciu historycznym trzy szkice: Görana Rystada „Od rywalizacji do przyjaźni", Jana Szymańskiego „Polska- Szwecja. W cieniu wydarzeń europejskich XIX i XX wieku" i Henryka Wisnera „Zygmunt III Waza". Na temat związków obu narodów zawartych w dziełach literackich pisze Andrzej Nils Uggla w szkicu „Tysiąc lat problematyki narodowej w literaturze szwedzkiej i polskiej", prowadząc czytelnika przez wszystkie epoki literackie, począwszy od średniowiecznych kronik po literaturę Młodej Polski i szwedzkie utwory z okresu drugiej wojny światowej, podejmujące dyskusję na tematy narodowe na tle problematyki egzystencjalnej. Z kolei Tomasz Jastrun w szkicu zatytułowanym „Szwecja-Polska", tak daleko, tak blisko" podjął ciekawą próbę

wyjaśnienia stereotypów, opisując wzajemne widzenie się Polaków i Szwedów w aspekcie różnic mentalności obu nacji oraz odmienności kulturowych. „Filmy z przeciwnej strony Bałtyku", szkic pióra Krzysztofa Zanussiego, jest hołdem złożonym przez polskiego reżysera kinu szwedzkiemu, w szczególności twórczości Ingmara Bergmana. Natomiast Kjell Albin Abrahamson zatytułował swoje refleksje na temat kina polskiego „Cztery promile odurzają szwedzkiego kinomana", określając w ten sposób znikomą (4-promilową) cząstkę polskich filmów w repertuarach kin szwedzkich, co nie znaczy, że filmy Andrzeja Wajdy czy Krzysztofa Kieślowskiego są obce naszym sąsiadom. Ostatnim szkicem, zamykającym przegląd tematów zawartych w antologii, są spostrzeżenia Börje Risinggårda zatytułowane „Czy można z Polakami robić interesy?", które autor, pomimo zarysowanych przeszkód i trudności występujących w tej materii, podsumowuje: „należy przede wszystkim nie przegapić historycznej szansy w nawiązaniu handlowych relacji z nowym, chętnym do współpracy i kompetentnym sąsiadem zza morza".

Antologia „Szwecja-Polska" zawiera bibliografię i indeks osobowy, jest ładnie wydana i opracowana graficznie, a teksty zostały ciekawie zilustrowane (portrety, karykatury, szkice i ryciny). Warto zwrócić uwagę na znaczki, autorstwa Czesława Słani, światowej sławy rytownika znaków pocztowych, grawera dworów królewskich, absolwenta krakowskiej ASP, mieszkającego od kilkudziesięciu lat w Szwecji. Trzeba też uzupełnić, że wspomniana w szkicu J. Szymańskiego Apolonia Załuska z Krakowa, prowadząca w 1936 roku lektorat języka polskiego w Uppsali, stała się po wojnie znanym autorytetem w dziedzinie interpretacji sag islandzkich - skandynawskich dzieł prozy narracyjnej, powstałych we wczesnym średniowieczu, a spisanych w XIII-XIV wieku w Islandii, których była tłumaczem i wydawcą.

Jolanta Wroczyńska

Szkolnictwo polskie na Ukrainie

Edukacja rozumu i serca

Na II Zjeździe Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie w dniach 29 - 30 czerwca br. w Chmielnickim (d. Płoskirowie) na Podolu, 72 uczestników (spośród 83 zaproszonych) wytyczyło kierunki dalszego rozwoju szkolnictwa polskiego, borykającego się w tym kraju z trudnościami materialnymi i kadrowymi, a czasem i niechęcią lokalnych władz.

Prezes ZNPnaU, Julia Sierkowa z Chmielnickiego, której Zjazd powierzył tę funkcję na kolejne 3 lata, podziękowała polskim nauczycielom za ich pełną poświęcenia pracę.

- To wy przygotowujecie dzieci i młodzież do różnych konkursów i festiwali. Organizujecie różne imprezy kulturalne i uczestniczycie w życiu społecznym polskich organizacji. Tylko nauczyciel świadomy narodowościowo może doprowadzić do sprzymierzenia edukacji rozumu z edukacją serca. Trudno sobie wyobrazić nauczanie polskich dzieci bez wychowania narodowego, którego podstawą jest nauka języka ojczystego, kultury i historii Polski, ale także polskiego pacierza, polskiej pieśni i tańca narodowego, polskiego obyczaju i tradycji - powiedziała prezeska.

W wypowiedziach przedstawicieli poszczególnych ośrodków nauczania przebijała troska o rozwój szkolnictwa, przy jednoczesnym braku pieniędzy na zakup sprzętu i wypłaty dla nauczycieli. Sytuacja finansowa nauczycieli na Ukrainie jest bardzo zła. Zarabiają ok. 20 dolarów miesięcznie, co nie wystarcza nawet na skromne utrzymanie. Czasem te groszowe pensje wypłacane są z kilkumiesięczną zwłoką, a np. w Gródku Podolskim wręcz obniżono zarobki nauczycielom polskich klas w miejscowej szkole do 15 dolarów. Wielu nauczycieli, aby przeżyć, zmuszonych jest pracować na dodatkowym etacie, uprawiać działki warzywne czy dorabiać handlem. W szczególnie ciężkiej sytuacji są nauczyciele szkółek sobotnio-niedzielnych, którzy w ogóle nie są opłacani przez państwo (choć szkółki muszą być oficjalnie zarejestrowane w ramach systemu szkolnictwa ukraińskiego). Na ich skromne utrzymanie składają się więc rodzice uczniów, czasem otrzymują niewielką pomoc z Polski. Namiastką swoistego zadośćuczynienia jest dla nauczycieli możliwość wyjazdu do Polski na okresowe szkolenia i konferencje.

W ocenie Adama Chłopka, opiekuna szkółek sobotnio-niedzielnych z ramienia Zarządu ZNPnaU, stopień znajomości języka ojczystego wśród Polaków i osób pochodzenia polskiego na Ukrainie jest „tragicznie niski". Tylko ok. 10 procent mniejszości polskiej (ocenianej przez niego na milion do półtora miliona osób) włada językiem polskim. Podobnie ocenił sytuację Stanisław Kostecki, prezes Związku Polaków na Ukrainie, który oblicza, że zaledwie od 5 do 10 procent polskich dzieci w tym kraju ma możliwość nauki języka ojczystego (liczebność mniejszości polskiej oszacował na półtora do dwóch milionów osób). Prezes Kostecki podkreślił konieczność powstania Polskiej Macierzy Szkolnej, która organizowałaby szkoły polskie, ponieważ nie tylko nauczyciele zainteresowani są walką o szkoły, ale zwłaszcza rodzice i uczniowie. Zauważył, że Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie nie jest już ostoją polskości, a odprawiane w języku polskim Msze św. są, często bez uzasadnienia, redukowane. Zapowiedział powstanie Polskiego Stowarzyszenia Katolickiego, które będzie walczyło o zachowanie języka polskiego w liturgii.

Stan polskiego szkolnictwa

Od czasu założenia Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie w grudniu 1996 roku struktura polskiego szkolnictwa powiększona została do ok. 90 placówek nauczania języka polskiego, przy czym są to głównie lekcje języka polskiego w szkołach ukraińskich lub polskie szkółki sobotnio-niedzielne.

Na Ukrainie formalnie istnieją tylko dwie pełnoprawne szkoły z polskim językiem wykładowym. Są to szkoły nr 10 i 24 we Lwowie, które funkcjonowały przez cały okres władzy sowieckiej. Znamiennym jest tu fakt sprzed kilku lat, kiedy to ukraińskie władze Lwowa, pod pretekstem remontu tradycyjnej siedziby polskiej szkoły nr 24, przeniosły ją „tymczasowo" do znacznie gorszego i zaniedbanego budynku, w którym ta szkoła mieści się do dzisiaj i który tylko dzięki pomocy Polski doczeka się w bieżącym roku niezbędnego remontu dachu, dzięki pomocy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska".

Zapewne dojdzie wreszcie, być może w przyszłym roku, do usamodzielnienia się polskich klas w Mościskach (z ukraińskiej szkoły średniej nr 2) w odrębną szkołę z polskim językiem wykładowym, dla której Polska zakupi i wyremontuje osobny budynek. Nie byłoby to

możliwe bez interwencji polskich parlamentarzystów i przedstawicieli Rządu RP. Dodajmy, że mimo corocznych polskich interwencji, od 5 lat oświatowe władze ukraińskie nie pozwalały Polsce wybudować w Mościskach nowej szkoły dla polskich klas, mieszczących się w zagrzybionym i nie dogrzanym budynku.

Za około dwa lata ma też powstać odrębna szkoła z polskim językiem wykładowym w Gródku Podolskim, gdzie tamtejsze władze zezwoliły Polsce na postawienie nowego budynku szkolnego. „Wspólnota Polska" prawdopodobnie ruszy z budową jeszcze w tym roku, po rozstrzygnięciu przetargu na wykonawcę obiektu. Jest też pozwolenie na budowę 9-klasowej szkoły z polskim językiem wykładowym w Strzelczyskach koło Mościsk. Aktualnie Społeczny Komitet Budowy Szkoły gromadzi materiały budowlane, a wznoszenie nowoczesnego budynku „Wspólnota Polska" rozpocznie wiosną przyszłego roku.

W szkołach ukraińskich w Iwano-Frankowsku (d. Stanisławowie), a także w Żytomierzu, prowadzone są klasy z polskim językiem wykładowym. W tym roku setny uczeń z Żytomierza wyjedzie na studia do Polski. Jest to zasługą m.in. tamtejszej nauczycielki, Ewy Bagińskiej, która zarazem najlepiej wśród nauczycieli polskich w tym kraju przygotowuje swoich wychowanków do udziału w organizowanej przez ZNPnaU olimpiadzie języka i literatury polskiej. W Żytomierzu, za sprawą przychylności lokalnych i regionalnych władz, aż w trzech szkołach język polski jest przedmiotem obowiązkowym, lekcje religii odbywają się (po polsku) w szkole, a lokalne radio i telewizja, jako jedyne na Ukrainie, bezpłatnie użyczają mniejszości polskiej czasu antenowego.

Najgorzej sytuacja wygląda w Winnicy, o czym poinformował jeden z uczestników Zjazdu, Walery Galecki, organizator i nauczyciel polskiej szkółki niedzielnej przy parafii rzymskokatolickiej, pomimo że w mieście jest co najmniej 50 tysięcy osób polskiego pochodzenia. Szkółka została ostatnio usunięta z piwnicy szkolnej, wyremontowanej wcześniej przez kościół i „Wspólnotę Polską". Ze strony miejscowych władz są naciski, by pełnej szkoły polskiej nie zakładać, zaś szkółka niedzielna rodzi zniechęcenie u rodziców. Miejscowi Polacy boją się stanowczo domagać prawa do pełnego nauczania w języku ojczystym, natomiast cztery miejscowe stowarzyszenia polskie nie są bardzo liczne.

Podobna sytuacja jest w innych miejscowościach. Kijowskie gimnazjum nr 48 traci zainteresowanie językiem polskim, którego nauczano w dwóch klasach, a obecnie tylko w jednej (2 godziny tygodniowo). Nauczycielka Nadzieja Susznicka z Kijowa poinformowała, że sprzeciwia się tym lekcjom dyrektorka szkoły, według której język polski jest obciążeniem dla dzieci, które mają i tak dużo nauki. W Oleszkowcach koło Chmielnickiego, prawie czysto polskiej wiosce, w ogóle nie ma nauczania języka polskiego - poinformował prezes Kostecki, który zaniepokojony jest również trudnościami w nauczaniu języka polskiego w Kamieńcu Podolskim.

W Drohobyczu i Czerniowcach nie ma polskich klas w miejscowych szkołach, ale za to dużym powodzeniem cieszą się szkółki sobotnio-niedzielne. Modelowo prowadzona jest przez Adama Chłopka pierwsza na Ukrainie polska szkółka sobotnia w Drohobyczu. Potrafił on, dzięki kontaktom w Polsce, wyposażyć ją w atrakcyjne pomoce naukowe (m.in. w komputery). Do ok. 200 dotychczasowych uczniów przybędzie w nowym roku szkolnym 40 dzieci z czerwcowego naboru (chętnych było 4 razy tyle). Szkółka ma własny statut, zarejestrowana jest przez władze oświatowe i korzysta bezpłatnie z pomieszczeń miejscowej szkoły ukraińskiej. Nie opłacani przez państwo nauczyciele uczą tutaj nie tylko języka ojczystego (gramatyki i literatury), ale także historii

Od prawej: A. Chłopek z Drohobycza, N. Susznicka z Kijowa, M. Siwko z Kijowa, T. Teterycz z Mościsk, J. Sierkowa z Chmielnickiego, S. Kostecki z Gródka Podolskiego

i geografii Polski oraz muzyki i tańców polskich. W szkółce prowadzone są też drużyny harcerskie i zajęcia sportowe. Rówieśniczką drohobyckiej jest - prowadzona przez sekretarza Zarządu ZNPnaU, Łucję Uszakową - szkółka niedzielna przy gimnazjum nr 3 w Czerniowcach, do której uczęszcza 172 uczniów. Oprócz tego język polski nauczany jest w szkole jako obcy i podczas gdy w ubiegłym roku ośmiu maturzystów wybrało egzamin z polskiego na maturze, to w bieżącym roku uczyniło tak dziesięć osób. Dwóch absolwentów szkółki niedzielnej dostało się na studia w Polsce. Język polski nauczany jest również w trzech wioskach na tradycyjnie wielonarodowej Bukowinie.

Nauczyciele byli zgodni w tym, że system polskiego szkolnictwa na Ukrainie powinien opierać się na klasach i szkołach z polskim językiem wykładowym, a nie na szkółkach sobotnio-niedzielnych. Te ostatnie stanowią bowiem znaczne obciążenie dla uczniów i mają rację bytu jedynie tam, gdzie Polacy mieszkają w dużym rozproszeniu. Faktem jest jednak, że w ciągu 9 lat istnienia niepodległej Ukrainy nie powstała jeszcze formalnie ani jedna pełnoprawna szkoła z polskim językiem wykładowym. O konieczności bardziej intensywnego formowania własnej, dwujęzycznej kadry nauczycielskiej, i zarazem bardziej zdecydowanego pokonywania biurokratycznych przeszkód w zakładaniu klas i szkół z polskim językiem wykładowym mówił członek nowego Zarządu ZNPnaU, Jerzy Wasidłow, nauczyciel-przyrodnik z Iwano-Frankowska. Wskazywał on na dyskryminacyjne bariery stawiane mniejszości polskiej, która znajduje się w dużo gorszej sytuacji w porównaniu np. do znacznie mniej licznych Tatarów, dysponujących 10 szkołami z tatarskim językiem wykładowym, czy Rumunów, mających 88 szkół z rumuńskim językiem wykładowym, nie mówiąc już o szkołach rosyjskich. Dodajmy, że podczas gdy w Czerniowcach władze ukraińskie utworzyły finansowane przez państwo Centrum Naukowo-Dydaktyczne dla mniejszości rumuńskiej oraz podobne ośrodki w Użgorodzie dla Węgrów i na Krymie dla Tatarów, to starania ZNPnaU o powołanie analogicznej placówki dla mniejszości polskiej zbywane są argumentem braku środków finansowych.

Osiągnięcia i zamierzenia

ZNPnaU zorganizowało w listopadzie 1997 roku (w Szkole nr 10 we Lwowie) seminarium oświatowe we współpracy ze Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska" oraz z udziałem MEN i Ministerstwa Oświaty Ukrainy. Kolejne takie seminarium odbędzie się w listopadzie br. (ponownie w Szkole nr 10 we Lwowie) i podejmie problem integracji treści programowych z działalnością ośrodków metodycznych, widząc w tym szansę dla rozwoju oświaty polskojęzycznej na Ukrainie.

W 1998 roku, po przeprowadzeniu wszelkich formalności celnych, ZNPnaU otrzymało od „Wspólnoty Polskiej" 13 ton literatury edukacyjnej, z czego do tej pory rozprowadzono 11 ton. W ubiegłym roku zorganizowano, przy poparciu władz obwodu chmielnickiego i pomocy „Wspólnoty Polskiej", Dni Kultury Polskiej na Podolu oraz konferencję naukową, z której materiały opracowano i wydano w książce „Polacy na Chmielniczczyźnie". Adam Chłopek opracował dla szkół sobotnio-niedzielnych statut i program nauczania oraz przeprowadził szkolenia dla nauczycieli. Dodatkowo (wspólnie z Teresą Dutkiewicz) założył biuletyn ZNPnaU - „Głos Nauczyciela" - którego jest redaktorem naczelnym.

Zjazd poparł, projektowane przez Zarząd ubiegłej kadencji, założenie sześciu własnych ośrodków metodycznych dla polskiego szkolnictwa na Ukrainie. Będą to - finansowane przez Polskę - ośrodki: w Żytomierzu (dla obwodów żytomierskiego i kijowskiego), w Winnicy (dla winnickiego i chmielnickiego), w Czerniowcach (dla czerniowieckiego i iwano-frankowskiego), we Lwowie (dla lwowskiego i tarnopolskiego) oraz ośrodek metodyczny w Drohobyczu dla szkółek sobotnio-niedzielnych. Podczas gdy jest to zadanie dopiero czekające na realizację, to praktycznie działają już trzy punkty konsultacyjne: we Lwowie, prowadzony przez Martę Markuninę w Szkole nr 10 oraz w Żytomierzu i w Dowbyszu na Żytomierszczyźnie - pod kierunkiem Mirosławy Starowierowej.

ZNPnaU korzysta z pomocy Polonijnego Centrum Nauczycielskiego w Lublinie, które prowadzi kursy doskonalenia nauczycieli polskich m.in. na Ukrainie. Ostatni 2-tygodniowy, przedmiotowo-metodyczny kurs dla nauczycieli języka polskiego odbył się w czerwcu br. w Chmielnickim. W ostatnim roku szkolnym tego typu kursy ukończyło 57 nauczycieli z Ukrainy. W okresie wakacyjnym kursy doskonalenia nauczycieli organizowane są także w Polsce, m.in.: w Warszawie (kurs kultury i tradycji), w Zielonej Górze (podnoszenie kompetencji komunikacyjnych), w Łodzi (matematyczno-fizyczne i przyrodnicze), w Gdańsku (wspieranie nauczania przez dramę), w Słupsku (nauczanie dzieci najmłodszych) oraz trzy kursy w Lublinie (kurs kultury i tradycji z elementami folkloru, nauczanie w klasach starszych oraz metody aktywizujące w nauczaniu języka polskiego). W planach na rok przyszły prezes Julia Sierkowa zapowiedziała zorganizowanie na Ukrainie językowej szkoły letniej oraz obozu krajoznawczo-historycznego dla dzieci i młodzieży.

Dodajmy, że wśród gości Zjazdu znaleźli się m.in. Beata Czech z Biura Zarządu Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" oraz konsultanci z Polonijnego Centrum Nauczycielskiego w Lublinie - Małgorzata Małyska i Barbara Gajewska. Przybył też kapelan nauczycieli polskich na Ukrainie, o. Stanisław Lityński (dominikanin) z Kijowa oraz sprzyjający nauczycielom na Podolu, ks. Wiktor Tkacz z Chmielnickiego. Władze obwodowe reprezentował naczelnik Urzędu ds. Imigracji, Jurij Błażewycz, który w niezwykle przyjaznym wobec uczestników Zjazdu wystąpieniu zapewnił, że będzie stał po stronie nauczycieli polskich w ich kłopotach z biurokracją i nieżyczliwością, ponieważ sam był przez dwadzieścia lat nauczycielem i rozumie wielokulturowość Ziemi Chmielnickiej.

Jacek Borzęcki

Zjednoczenie Nauczycieli Polskich na Ukrainie wybrało w dniu 30 czerwca br. nowy zarząd w składzie: prezes - Julia Sierkowa (Chmielnicki), Marta Markunina (Lwów), Adam Chłopek (Drohobycz), Teresa Teterycz (Mościska), Łucja Uszakowa (Czerniowce), Jerzy Wasidłow (Stanisławów), Nadzieja Susznicka (Kijów), Wiktoria Guzowska (Winnica), Larysa Watmińska (Berdyczów), Ewa Bagińska i Mirosława Starowierow (Żytomierz).

Oddział w Bielsku Białej

W dniach 13 - 27 lipca br. na koloniach społecznych, zorganizowanych przez Oddział „Wspólnoty Polskiej" przy pomocy finansowej wielu lokalnych sponsorów, przebywały dzieci z Ukrainy. Do Domu Pielgrzyma w Hałcnowie przyjechała grupa 41 uczestników w wieku 8 - 17 lat i czterech opiekunów z rzymskokatolickiej parafii pw. Matki Bożej Różańcowej w Żydaczowie, z którą Oddział współpracuje od kilku lat. Dzieci i młodzież podzielono na dwie grupy - młodszą i starszą. Organizatorzy przygotowali dla młodych gości z Żydaczowa ciekawy program pobytu pod opieką instruktorów, w którym znalazły się m.in.: zapoznanie się z historią regionu i Polski, nauka polskich piosenek, zajęcia plastyczne - w tym konkurs pt. „Dziecko w modlitwie", spotkania katechetyczne oraz spotkania z miejscową młodzieżą. Uczestnicy kolonii wzięli udział w kilku wycieczkach, m.in. Pętlą Beskidzką oraz do Wieliczki, Krakowa, Wadowic, Kalwarii i Żywca. Młodzież uczestniczyła też w rozgrywkach sportowych na boisku i basenie oraz w zajęciach rekreacyjnych na terenie klasztoru sióstr Serafitek.

Minionego lata Oddział w Bielsku-Białej był także współorganizatorem Międzynarodowego Dziecięcego Festiwalu Folklorystycznego „Darujmy światu pokój" i Mityngu Forum Dziecięcych Inicjatyw Pokojowych, które miały miejsce w Oświęcimskim Centrum Kultury w dniach 15 - 22 lipca br. oraz współuczestniczył w przygotowaniach do XXXVII Tygodnia Kultury Beskidzkiej „Beskidy 2000", wydając folder z okazji 53. „Gorolskiego Święta" w Jabłonkowie na Zaolziu, które odbyło się w dniach 5 - 6 sierpnia br.

Dzieci z Żydaczowa

Oddział w Krakowie

Letnia szkoła dla młodzieży polonijnej

W dniach 6 - 19 sierpnia br. w Krakowie przebywała młodzież polonijna ze Wschodu i Zachodu na kolejnej Szkole Letniej zorganizowanej przez Oddział. W tym roku wyjątkowo dopisali uczestnicy z Europy Zachodniej. Na trzynastodniowy turnus przyjechało razem 48 osób - dziewięciu uczestników z Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii i Szwecji oraz 39 osób z Białorusi, Bułgarii, Litwy, Łotwy, Mołdawii, Słowacji, Ukrainy i Węgier.

fot. P. Zborowski

Program Szkoły zaplanowany był w ten sposób, że codziennie przed południem odbywały się zajęcia z języka polskiego, historii Polski, historii Krakowa oraz dziedzictwa kulturowego na Kresach, a czas popołudniowy przeznaczony był na zwiedzanie i wypoczynek. Młodzież miała okazję poznać zabytki grodu Kraka i wziąć udział w licznych imprezach kulturalnych organizowanych w ramach festiwalu „Europejskie Miasto Kultury - Kraków 2000". Każdy mógł znaleźć coś interesującego dla siebie. Młodzież zwiedziła Kopalnię Soli w Wieliczce, niezapomnianych wrażeń dostarczył spływ Dunajcem, zwiedzanie ruin zamków w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej oraz Jaskini Wierzchowskiej, a także wyprawy na Kopiec Kościuszki, do Tyńca, na krakowski Kazimierz czy do kina - na ekranizację „Pana Tadeusza" w reżyserii Andrzeja Wajdy.

W czasie wolnym od zajęć młodzież uczestniczyła w zabawach sportowych (piłka nożna, koszykówka, tenis stołowy), bawiła się w dyskotece i przy ognisku. Jak przy okazji takich spotkań bywa, w Krakowie zawiązały się też międzynarodowe przyjaźnie. Czas upłynął szybko, więc przy pożegnaniu obiecywano solennie odpisywać na kartki. Nieoczekiwanym rezultatem pobytu w Szkole kilku osób z Zachodu była decyzja zapisania się na płatne studia w Krakowie, które są tańsze niż w miejscu zamieszkania, a rekrutacja przebiega bez egzaminów. W związku z tym niektórzy uczestnicy pozostaną w Krakowie na dłużej. *(PZ)*

Oddział w Łodzi

Owocne Lato

Wiosna i lato obfitowały w Oddziale w wiele ciekawych imprez, z których tradycyjny jest już kwietniowy Festiwal Pieśni i Piosenki Religijnej. Od pięciu lat przyjeżdżają do Łodzi zespoły ze Słonimia, Mościsk, Grodna, Dziewieniszek i Sambora. W tym roku po raz pierwszy przyjechali członkowie zespołu z Solecznik i Stołpc oraz rodzeństwo z Czerniowiec, które oczarowało naszą publiczność. 250 małych rozśpiewanych rodaków ze Wschodu jest jej doskonale znanych, gdyż ich zespoły zdobywają zawsze pierwsze nagrody. W tym roku, jak zwykle, rewelacyjny był zespół „Dobro i Pokój" ze Słonimia, który nie ma sobie na naszym festiwalu równych. Tuż za nim uplasowały się „Mościskie Słowiki", a nową gwiazdą zostało rodzeństwo z Czerniowiec.

Nagrody, choć zawsze poprawiają humory, a czasem stan kieszeni, nie są tu najważniejsze. Dużo istotniejsze są chwalenie pieśnią Pana, wspólna zabawa oraz korzyści w postaci rozwijania warsztatu muzycznego i ruchu scenicznego. Cieszymy się ze zwycięstw małych rodaków ze Wschodu i czekamy na nowy repertuar w przyszłym roku. Zapraszamy też inne zespoły!

Także w kwietniu po raz kolejny odwiedziła Łódź grupa nauczycieli i młodzieży z litewskich Ławryszek. Wymiana jest jednym z punktów programu szkół patronackich Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", realizowanego z powodzeniem i radością przez nauczycieli i uczniów XXXIII Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi od dwóch lat. Tym razem ławryszanie uczestniczyli w lekcjach wychowawczych, prezentując zwyczaje wielkanocne, podejmowali trud uczestnictwa w konkursie polonistycznym, poznawali tajniki ekologii, obejrzeli film „Ogniem i mieczem" i zawarli wiele nowych znajomości. Nauczyciele bądź im towarzyszyli, bądź hospitowali lekcje swoich kolegów. Bardzo zainteresowali się innymi niż stosowane na Litwie metodami nauki i z przyjemnością oglądali zajęcia lekcyjne - wyjechali pełni mocnego

Olga i Marian Hanziukowie z Czerniowiec

postanowienia zmiany swych dotychczasowych metod. Efektem wymiany był wakacyjny przyjazd dwóch nauczycielek - polonistki i germanistki - które uczyły się wykorzystania komputera podczas lekcji. Ich szkoła otrzymała bowiem dwa komputery, które stałyby bezużyteczne, gdyby nie chęci tych pań i ich koleżanki z XXXIII LO. A że lipiec był deszczowy, nie żal było siedzieć przy komputerze.

Gorzej było maturzystom z Ławryszek, którzy byli w Krościenku na obozie turystyczno-językowym. Niezbyt radzili sobie z turystyką górską w dni słoneczne, a co dopiero mówić o wspinaczce górskiej, gdy woda lała się na głowę. Dużo lepiej sprawowali się ich koledzy z Grodna. Zdobycie Sokolicy czy Trzech Koron, wejście na Wysoką było dla nich jeszcze jednym wyzwaniem. Wszyscy z radością zjeżdżali z Palenicy, by potem spacerem, podziwiając łodzie flisackie i widoki na Pieniny, zejść do Krościenka.

Dni deszczowe wypełniało kino, lektury i ćwiczenia z języka polskiego, który należałoby solidniej poznać, bo z pisaniem i z czytaniem nie jest za dobrze. Nic dziwnego, że z radością opowiadali o spływie Dunajcem, ognisku i meczu w koszykówkę, przemilczając zajęcia obowiązkowe.

Z pewnością z wieloma wrażeniami wrócą do domu dzieci z Białorusi, które przyjechały, by spędzić wakacje u polskich rodzin. Wiele z nich było w naszym kraju po raz pierwszy, ale będą pamiętać wspólne śpiewanie przy ognisku zorganizowanym przez proboszcza z Łaznowa i pieczone kiełbaski oraz pielgrzymkę do Częstochowy i biwak nad Pilicą. Dwa tygodnie to szmat czasu, by poznać rodzinę, u której się mieszka i zaprzyjaźnić się z domownikami. Te przyjaźnie trwają czasem latami, a dzieci wracają do tych samych rodzin. Mamy nadzieję, że wiele z nich powróci do nas jeszcze dzięki życzliwości i otwartości rodzin, tak jak dzieci z Bezdan, które gościły na koloniach w Grotnikach, dzięki hojności Urzędu Miasta Łodzi. Zorganizowano dla nich wycieczki w okolice Łodzi i do ZOO.

Wakacje to nie tylko odpoczynek. Dla 30 osób z Łotwy, Ukrainy i Białorusi był to czas niezwykle pracowity, bowiem podnosiły one swoje umiejętności w filmowaniu kamerą video, kwiaciarstwie i fryzjerstwie. Takie kursy są formą pomocy Polakom w znalezieniu pracy, która mogłaby dać ich rodzinom utrzymanie.

Miłym akcentem lata była Niedziela Kresowa, stanowiąca część sieradzkiego lata. Młodzi śpiewacy z Ukrainy i Białorusi uczestniczyli w warsztatach muzycznych w Załęczu nad Wartą, a w podziękowaniu wyśpiewali sieradzkiej publiczności rzewne i skoczne melodie kresowe. W niejednych oczach na widowni pojawiły się łzy - tak nie śpiewają dzieci z centralnej Polski.

Lato dobiegło końca, a my się cieszymy, że udało nam się dać trochę radości dzieciom i wiedzy dorosłym.

Maria Piotrowicz

Oddział Północnomazowiecki

Kresowa dusza

W Polsce corocznie organizuje się wiele różnych festiwali kresowych. Największy to festiwal w Mrągowie. Wszystkie - niezależnie od przyjętej formuły - są podporządkowane prawom koncertu, w którym najważniejsza jest publiczność, a w przypadku transmisji radiowej czy telewizyjnej - widz lub słuchacz. Wykonawcy są drogą osiągania sukcesu. Sierpniowe spotkania artystów z różnych miejsc dawnych polskich kresów, które odbywały się od 8 do 25 sierpnia w Domu Polonii w Pułtusku, nosiły nazwę Forum Kultury Kresowej - „Kresowa dusza". Były to bardziej warsztaty, spotkania, wzajemna wymiana doświadczeń niż występ przed publicznością. Najważniejsi byli wykonawcy.

Spotkania i prezentacje poprzez audycje telewizyjne i radiowe na pewno obejrzycie Państwo i posłuchacie. W ten sposób, mimo kameralności spotkań i ich niemal rodzinnego charakteru, zyskają one tysiące, a może nawet miliony współuczestników.

Zespoły i wykonawcy, którzy zawitali do pułtuskiego Zamku, pochodzą z Ukrainy, Białorusi, Litwy, a nawet Bukowiny rumuńskiej.

Wydarzeniom tym towarzyszył plener malarski, wystawa, spotkania poetów kresowych. Była to szeroka prezentacja dorobku artystycznego dzisiejszych kresów.

Kultura kresowa jest jednoznaczna z szeroko rozumianą polską kulturą. Dziś, choć kresy nie leżą już w granicach państwa polskiego, są dalej obecne w polskiej świadomości i przebogatej spuściźnie pokoleń. Ważnym jest, aby ten dorobek miał godnych kontynuatorów. Dlatego też tak bardzo cieszy fakt, że w przeważającej części wykonawcy to młodzież i dzieci. Na pewno warto pokazywać dzisiejszej polskiej młodzieży jej rówieśników zza

fot. A. Panecka

Zespół z Bukowiny Rumuńskiej *fot. L. Lorek*

wschodniej granicy, jak z wielkim zapałem i głębokim zrozumieniem śpiewają, recytują, tańczą, poświęcają swój wolny czas i talent, aby - z tą samą co ich przodkowie - patriotyczną motywacją tworzyć kulturę kresową.

W Forum Kultury Kresowej uczestniczyło 14 zespołów, kilku indywidualnych wykonawców, w tym Luba Nazarenko i Maria Krupowies. W plenerze malarskim uczestniczyło 7 artystów z Białorusi, a w wieczorach artystycznych dwa pokolenia poetów wileńskich, w sumie 190 uczestników. Koncerty prowadziła z właściwym sobie wdziękiem Ania Adamowicz.

Trudno pisać o imprezie organizatorom, gdyż najważniejsze są zawsze opinie gości i dlatego zacytuję słowa Haliny Stawropolew, która napisała: „W ciągu tych dni Zamek pułtuski wypełniała piosenka, poezja, taniec i dusza kresowa, a jedzenie w pięknych restauracjach ze staropolską obfitością i różnorodnością to poemat. A czy to nie bajka sobótkowa, gdy bystra Narew niosła nasze łódki, a kresowe głosy niosły po wodzie pieśń «Za Niemen, hen precz, za Niemen» przy zapalonych pochodniach".

Grzegorz Russak

Maria Krupowies w latach 90. zaczęła zbierać na Wileńszczyźnie i wykonywać pieśni narodów Litwy - polskie, litewskie, białoruskie, rosyjskie, żydowskie. Koncertowała na Litwie, w Polsce, Niemczech i Japonii. Jest autorką publikacji poświęconych polszczyźnie kresowej i polskiemu folklorowi muzycznemu na Litwie.

W jakim repertuarze wystąpiła Pani podczas Forum?
Jestem wierna sobie. Zaprezentowałam więc pieśni wielokulturowego regionu, jakim jest Wileńszczyzna - polskie, litewskie, białoruskie. Stare przeboje, ale też nowe, które ostatnio udało mi się znaleźć.

Jest Pani autorytetem w dziedzinie polskich pieśni kresowych, a raczej polskiej kultury na kresach. Na ile ona się zmienia?
To bardzo trudne pytanie. Po niemal eksplozji twórczości folklorystycznej na Litwie teraz wszystko biegnie normalnym rytmem. Istnieją różne zespoły, są festiwale, wymiana kulturalna i ciągle coś się krystalizuje. Czasem udaje się stworzyć coś oryginalnego, nowego, ale częściej jest to rzetelne kultywowanie dokonań przodków. Podobnie zresztą jest na Białorusi i Ukrainie.

Czy jednak te zespoły, festiwale ciągle są potrzebne, czy też działają z rozpędu, bo ktoś je kiedyś założył. Czy to jest ciągle ważne?
Oczywiście. Inaczej by się dawno rozpadły. Musi być entuzjazm, zaangażowanie, by zespoły nie tylko mogły trwać, ale i się rozwijać. Polacy na Litwie są mniejszością narodową, a zatem polskie pieśni są elementem łączącym, integrującym. Są to pieśni w języku ojczystym, który Polacy na Litwie darzą silnym uczuciem. Pieśń polska jest czymś odświętnym, co po prostu się kocha. Pozwala wyróżnić się z otoczenia, wyodrębnić tożsamość. To z pewnością swoisty relikt, ale myślę, że na kresach folklor jest znacznie ważniejszy niż w centralnej Polsce - nadal istnieje ku pokrzepieniu serc. Ponadto u nas znacznie lepiej widać, jak wiele łączy polską pieśń z litewską czy białoruską, że jest to owoc współistnienia.

Czy dlatego odwołuje się Pani w swojej twórczości do wielokulturowości Wielkiego Księstwa Litewskiego?
Tak, choć to tylko jeden z elementów mojej twórczości. To zderzanie obrazów świata nieco odmiennych musi ciągle zachwycać różnorodnością. Moją rolą jest tylko to przedstawić, a wówczas serca się otwierają i ludzie z sympatią patrzą na siebie. Nikną bariery.

Podczas I Forum Kultury Kresowej doszło do niezwykle wzruszającego spotkania. Pani Emilia Gierut z Melbourne, w Australii, która była na wakacjach w Polsce, przyjechała do Pułtuska, by choć przez chwilę spotkać się z zespołem „Pierwiosnek" z Baranowicz na Białorusi.

"Na skrzydłach bym przyleciała do mojego «Pierwiosnka»" mówiła wzruszona, bo do dzisiaj przeżywamy piękną polską mowę, śpiewy i recytacje, jakie zespół zaprezentował podczas występów w Australii. Równie wzruszona była pani Halina Stawropolew, kierowniczka zespołu, który działa od ponad pięciu lat. Zrzesza 26 uczniów społecznej szkoły polskiej w Baranowiczach, istniejącej przy Domu Polskim. Ma w repertuarze piosenki młodzieżowe, pieśni ludowe i patriotyczne. „Pierwiosnek" ma opracowany program historyczno-patriotyczny „Polska to jest wielka rzecz", także okolicznościowy z okazji Roku Mickiewiczowskiego. Wystawia „Małego Księcia" i „Czerwonego Kapturka", tańczy tańce polskie i białoruskie.

Zdaniem pani Haliny Stawropolew zespół jest uzupełnieniem polskiej edukacji, pomaga w odradzaniu polskiej tradycji, jest naturalnym sposobem nauki języka i poznania literatury, a jego udział w Forum napawa dumą i radością ze spotkania, które wzbogaca i pomaga nawiązać kontakty. W podobny sposób podsumował imprezę Tomasz Klimański - konsul generalny RP w Brześciu, który powiedział, że Forum Kultury Kresowej w Pułtusku pokazuje, jak należy spłacać dług wdzięczności za lata przechowywanej polskości.

Bogna Kaniewska

„Pierwiosnek" z z Baranowicz *fot. L. Lorek*

Oddział Wielkopolski

Obóz Języka Polskiego, Sportu i Turystyki

W dniach 3 - 23 lipca br. w zorganizowanym w Poznaniu i Rudnie k. Wolsztyna obozie dla młodzieży polonijnej wzięło udział czterdzieści osób z Białorusi, Bułgarii, Czech, Estonii, Jugosławii, Mołdawii, Niemiec, Polski, Rosji, Ukrainy i Węgier.

Podczas dziesięciu dni spędzonych w Poznaniu młodzież zwiedziła najcenniejsze zabytki miasta - Ostrów Tumski z katedrą, Stare Miasto z ratuszem i kościołem farnym, Wzgórze św. Wojciecha oraz Muzeum Narodowe, Muzeum Instrumentów Muzycznych i Muzeum Etnograficzne. Wzięła udział w wycieczkach autokarowych: Szlakiem Piastowskim przez Lednicę - Gniezno - Biskupin oraz trasą Koszuty - Kórnik - Rogalin. Codziennie, w dwu grupach, zarówno w Poznaniu, jak i później w Rudnie, odbywały się zajęcia z języka polskiego. Sposób prowadzenia zajęć spotkał się z dużym zainteresowaniem uczestników. Większość deklarowała chęć kontynuacji nauki języka po wakacjach.

Lipcowy obóz to jednak nie tylko nauka i zwiedzanie, ale także sport i rekreacja. Oprócz gry w koszykówkę i siatkówkę, młodzież zapoznała się z zasadami gry w bowling i wzięła udział w miniturnieju w nowoczesnej kręgielni w Poznaniu - „Niku bowling". Na terenie poznańskich obiektów „Malta-ski" uczyła się narciarstwa zjazdowego i wspinaczki skałkowej. Bardzo podobały się również wycieczki do nowego Ogrodu Zoologicznego i ogromnej Palmiarni w Poznaniu. Dwa wieczory młodzież polonijna spędziła na koncertach plenerowych: Edyty Górniak na Starym Rynku i rocka - Inwazja Mocy RFM FR nad Jeziorem Maltańskim.

Od 12 lipca nasi goście przebywali wraz ze sportowcami z Polski w Ośrodku Wypoczynkowym „Wielko-

polska" w Rudnie, gdzie uczestniczyli w programie turystyczno-sportowym. Brali udział w wycieczkach pieszych, rowerowych i kajakowych, w zabawach terenowych, m.in. „nocna ścieżka strachów" oraz w wyjazdach do Leszna, Obry, Wolsztyna i Pniewa. Pod koniec obozu odbyła się zorganizowana przez ośrodek spartakiada, w której nasza grupa polonijna okazała się najlepsza, zdobywając wiele nagród i medali, m.in. w skoku w dal, w biegu z przeszkodami, przeciąganiu liny, rzutkach, sztafecie i tenisie stołowym. W deszczową pogodę zajęcia sportowe uzupełniały siłownia i pływalnia oraz oglądanie filmów video, m.in. „Krzyżacy" i „CK Dezerterzy", a także nauka piosenek i dyskoteki. Na zakończenie obozu rozstrzygnięto konkurs plastyczny, wręczono nagrody książkowe i pamiątkowe dyplomy.

Podczas trzytygodniowego wypoczynku młodzież polonijna aktywnie uczestniczyła we wszystkich przygotowanych zajęciach, pogłębiła wiedzę na temat historii i kultury Polski oraz regionu, poznała się wzajemnie i poprawiła praktyczną znajomość języka.

Dariusz Łukaszewski

Letnia Szkoła Kultury i Języka Polskiego

W dniach 10 - 30 lipca br. w Poznaniu przebywały 44 osoby z Białorusi, Brazylii, Bułgarii, Estonii, Jugosławii, Kazachstanu, Łotwy, Niemiec, Rosji, Rumunii, Szwecji, Ukrainy i Węgier na zorganizowanej przez Oddział Letniej Szkole Kultury i Języka Polskiego. Program obejmował lektorat języka polskiego w grupach, odpowiednio do poziomu znajomości języka oraz konsultacje językowe. Konwersatoria, prowadzone przez pracowników Studium Nauczania Języka Polskiego dla Cudzoziemców przy Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, obejmowały różne tematy: „Reżyserujemy sztukę teatralną", „Reportaż radiowy", „Warsztaty dziennikarskie", „Trudne kwestie polskiej ortografii", „Spiewamy polskie piosenki" i „Gotowanie po polsku". W ramach Szkoły Letniej pracownicy naukowi poznańskich uczelni prowadzili też wykłady dotyczące historii Polski - sytuacji wewnętrznej w latach 1945-1980, „Solidarności" oraz 60. rocznicy zbrodni katyńskiej oraz kultury narodowej - historii filmu polskiego, polskich obiektów znajdujących się na liście Dóbr Dziedzictwa Światowego UNESCO, roli zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 r., Krakowa jako Europejskiego Miasta Kultury, tradycji literatury polskiej oraz nauki języka polskiego w kształceniu Polaków z zagranicy.

Uzupełnieniem bogatego programu Szkoły było zwiedzanie zabytków Poznania, zapoznanie się ze zbiorami muzeów oraz wycieczki do Kórnika i Rogalina, Szlakiem Piastowskim (Pobiedziska-Lednica-Gniezno-Biskupin) i Szlakiem Mickiewiczowskim (Koszuty-Śmiełów-Gostyń-Cichowo). Uczestnicy mieli również okazję obejrzeć film „Pan Tadeusz" w reżyserii Andrzeja Wajdy, wysłuchać kilku koncertów oraz bawić się na wieczorkach tanecznych i w dyskotece. Do innych atrakcji należały zajęcia w obiektach sportowo-rekreacyjnych wokół Jeziora Maltańskiego, spacery do Palmiarni i ZOO.

Podczas uroczystego zakończenia Szkoły uczestnicy grup konwersatoryjnych zaprezentowali zdobyte umiejętności w przygotowanych scenkach teatralnych, recytacji, występie chóru oraz osiągnięcia kulinarne - degustacja bigosu i ciast. Przy pożegnaniu nie obyło się bez łez i zapewnień o ponownym spotkaniu.

Danuta Krężlewska

Szkolenie komputerowe dla nauczycieli z Litwy

Nauczycielki z polskich szkół rejonu solecznickiego pracowicie rozpoczęły swe wakacje, biorąc udział w szkoleniu komputerowym I stopnia, prowadzonym przez pracowników Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Poznaniu. Program kursu obejmował 60 godzin zajęć z podstaw systemu operacyjnego Windows 95 i 98, edytora tekstu Word 97 oraz obsługi internetu. Uczestniczki miały możliwość zapoznania się z wieloma multimedialnymi programami szkolnymi i sposobami ich wykorzystania w pracy dydaktycznej. Każdą wolną chwilę po zajęciach przy komputerze nauczycielki spędzały na zwiedzaniu grodu Przemysława i poznańskich muzeów. Obejrzały również „Tango" Sławomira Mrożka w Teatrze Nowym oraz wzięły udział w spotkaniu z Janem Nowakiem-Jeziorańskim.

Za rok nauczycielki spotkają się w Poznaniu na kursie II stopnia.

Bożena Zięba

Polonijni bibliotekarze

W drugiej połowie lipca Oddział gościł grupę 26 pracowników bibliotek z Białorusi, Czech, Estonii, Łotwy, Jugosławii, Ukrainy, Mołdawii i Rumunii na zorganizowanych wespół z Biblioteką Raczyńskich w Poznaniu warsztatach. Wykłady i zajęcia praktyczne poświęcone były gromadzeniu, opracowaniu (klasycznemu i komputerowemu) oraz klasyfikacji zbiorów bibliotecznych, a także współczesnym bibliografiom i wydawnictwom polskim. Duże zainteresowanie budziły zajęcia z zakresu naprawy i konserwacji zbiorów. Uczestnicy warsztatów zapoznali się z pracą filii bibliotecznych dla dzieci oraz czytelników dorosłych, jak również z działalnością muzeów literackich na przykładzie Muzeum Literackiego im. Henryka Sienkiewicza w Poznaniu. Polonijni goście odwiedzili także Bibliotekę Główną Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

W ramach programu turystycznego bibliotekarze zwiedzili najcenniejsze zabytki Poznania, Rogalina, Gniezna, Lednicy i Biskupina. Podczas wycieczki do Kórnika obejrzeli skarby Biblioteki Kórnickiej, m.in. starodruki, rękopisy Adama Mickiewicza (II część „Dziadów") i Juliusza Słowackiego oraz najstarszy rękopis z przełomu XI i XII wieku.

Bożena Zięba

60 lat "Dziennika"

Londyński „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza Polskiego" to gazeta-instytucja, będąca przez 60 lat swego istnienia kolejno: organem rządu londyńskiego, pismem polskiej emigracji wojennej, wyrazicielem dążeń niepodległościowych Polaków rozsianych po świecie i w Kraju za „żelazną kurtyną" oraz obserwatorem polskich przemian demokratycznych w ostatnim dziesięcioleciu. Jednocześnie „Dziennik" jest kroniką życia Polaków w Wielkiej Brytanii i na świecie, przypomina o dokonaniach emigracji powojennej i losach Polaków na Wschodzie oraz jest promotorem kultury polskiej.

"Dopóki jest <Dziennik> - jestem..." to tytuł wydanej przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie pracy zbiorowej pod redakcją Katarzyny Bzowskiej ze wstępem Rafała Habielskiego, który pisze: „Książka niniejsza pomyślana została jako tom upamiętniający 60-lecie „Dziennika", a zarazem i 40-lecie „Tygodnia". Składają się na nią wspomnienia redaktorów, dziennikarzy i publicystów, związanych z gazetą stałą bądź dorywczą współpracą, a także sylwetki jej w większości nieżyjących już autorów i pracowników. Jest więc zapisem szeregu doświadczeń i punktów widzenia, które traktowane łącznie, wiele mówią o „Dzienniku", ocalając od zapomnienia opinie i wydarzenia składające się na jego dzieje".

Księgę pamiątkową otwierają listy gratulacyjne z okazji 60-lecia „Dziennika" nadesłane przez abp Szczepana Wesołego z Rzymu, ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego, ministra spraw zagranicznych RP Bronisława Geremka, ministra kultury i dziedzictwa narodowego RP Kazimierza M. Ujazdowskiego, rektora Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii ks. Stanisława Świerczyńskiego, ostatniego premiera II RP Edwarda Szczepanika.

W podzielonej na osiem części tematycznych księdze zawarta jest 60-letnia historia Polski, „Dziennika" i środowisk z nim związanych. W części pierwszej pod wymownym tytułem „Historia w „Dziennik" wpisana" prezes Polskiej Fundacji Kulturalnej Tadeusz Walczak podsumował 60-lecie krótko: „Obróciło się koło historii. Polska jest wolna, a „Dziennik" nadal istnieje i wraz z sobotnim „Tygodniem Polskim" wiernie nam towarzyszy". Redaktor naczelna „Dziennika" Katarzyna Bzowska w szkicu „"Dziennik" i otoczenie" przedstawia losy gazety na tle uwarunkowań wojennych od jej powołania w 1940 roku i nowych narodzin w wyniku zmiany w sytuacji międzynarodowej po Teheranie, przez wewnętrzne „batalie" i „rozwody" - kłopoty finansowe, zmiany personalne i techniczne lat pięćdziesiątych, „stabilizację" w latach sześćdziesiątych, po dzieje politycznej walki środowiska emigracji londyńskiej „ku wolnej Polsce". O „Londyńskich początkach" - w drugiej części księgi - piszą swoje wspomnienia Stefania Kossowska i Maria Gryziecka-Goldberger, a Stanisław S. Nicieja kreśli szkic o publicystyce wojennej Tadeusza Zabłockiego. Trzecia część - „W żołnierskich słowach" - zawiera wspomnienia redaktorów „Dziennika Żołnierza" Juliusza Łukasiewicza i Macieja Feldhuzena, przybliżających postacie wojennych redaktorów, korespondentów z frontu, współpracowników pisma oraz chochliki drukarskie i humor żołnierski.

Część czwartą - „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" - otwierają wycinki z gazety z lat 1944-45. Na następnych stronach znajdujemy eseje i felietony skreślone przez wprawne pióra dziennikarzy, m.in.: „Wspominki Dziennikowe" Michała Szumskiego, „Dziennikarskie ambicje i obozowe realia" Stefana Grassa, „Jak Dziennik Polski osiadł w Hove" Sheili Patterson-Horko, „Dziennik to wszystko przetrwał" Karola Zbyszewskiego, „Dziennik najważniejszy" Macieja Cybulskiego, „Kibicowanie" Krystyny Cywińskiej, „Szczęśliwe lądowanie" Jana Krok-Paszkowskiego, „Od własnego korespondenta wojennego!" Janusza Cywińskiego, „Dwudziestoletnia przygoda" Lesława Bobki, „Okres przełomu" Andrzeja Czyżowskiego, „Prowincja" Zygmunta Nowakowskiego, „Korespondent - odpowiedzialna funkcja" Mieczysława Kuczyńskiego, „Moje związki z Dziennikiem" Wacława Nettera, „Wierny towarzysz emigrantów" Henryki Łappo czy „Dziennik - przyjaciel na całe życie" Wandy i Tadeusza Lesiszów. W tej części księgi czytelnik znajdzie także

Promocję prowadził A. Chodkiewicz, dyrektor Biura Z.K. „Wspólnoty Polskiej"

wyjęte z „Dziennika" piękne dzieła literackie, m.in. esej Jerzego Pietrkiewicza „Spotkanie z Mont Blanc", felieton Stefanii Kossowskiej „Panorama emigracyjna" i „Fraszkę na Dziennik Polski" Mariana Hemara oraz sportretowane życie emigracyjne w korespondencjach Witolda Hartmana, Leona Łukowskiego, Stanisława Sobotkiewicza czy Karola Zbyszewskiego.

W części piątej - „Tydzień Polski" znajdziemy 40-letnią historię sobotnio-niedzielnego dodatku do „Dziennika", którego pierwszy numer ukazał się w styczniu 1959 roku pod redakcją Janusza Kowalewskiego. Pismo pomyślane było jako lekki magazyn weekendowy, na którego szpaltach było trochę sensacji i polityki, lekkich felietonów, praktycznych porad dla pań i odpowiedzi na listy. Kolejnym redaktorem pisma przez 22 lata był Wacław Zagórski, dziennikarz z Wołynia, żołnierz AK, miłośnik teatru, którego portret skreślił Leopold Kielanowski. Za jego kadencji w „Tygodniu" ukazywały się apele Komitetu Obrony Robotników, Towarzystwa Kursów Naukowych i „Solidarności". Następnie „Dwa krótkie epizody" przedstawiają sylwetki naczelnych „Tygodnia" - Mikołaja Szumskiego, który kierował pismem kilka miesięcy i Józefa Marię Bilińskiego - redaktora w latach 1984-86. Przez kolejne trzy lata, które przypadły na okres zmagań „Solidarności" z reżimem aż do obrad „okrągłego stołu", redakcją kierował Włodzimierz Olejnik, dokumentując wszystkie wydarzenia z Kraju i zamieszczając omówienia spraw krajowych nadsyłanych przez młodych historyków z Polski. Krystyna Rees we wspomnieniu „Pozostało to, co przyjemne" opowiada o kolejnych latach (1989-95), kiedy pracowała w „Tygodniu" z naczelnym Andrzejem Czyżowskim. Z kolei Tesa Ujazdowska - redaktor naczelna od 1995 roku - opowiada o „Nowej roli w zmienionym świecie", o nowych współpracownikach i nowych potrzebach czytelników. O swojej współpracy z „Tygodniem" piszą też historycy, autorzy zamieszczanych w nim artykułów: Zdzisław Jagodziński, Józef Garliński i Andrzej Pomian.

Część szósta - „Drukarnia" - prezentuje wspomnienia

Juliusz Łukasiewicz - ostatni żyjący dziennikarz z redakcji "Dziennika Żołnierza"

poświęcone życiu „Dziennika" od strony technicznej, od powielaczy przez zecernię i linotypy po maszyny offsetowe oraz pracujących przy nich ludzi, przestawione w szkicach: „Od Forfar do Hove" Edmunda Golla, „Odwiedziny w Hove. Rok 1995" Krzysztofa Głuchowskiego i „Ładnie tu drukujecie..." Jarosława Koźmińskiego.

"Nieustająca dyskusja" to tytuł części siódmej zawierającej wycinki z gazety i przybliżające tematykę i charakter dyskusji toczonych na jej łamach, w których tematem wiodącym była rola i zadania emigracji, zmieniające się wraz z sytuacją na arenie międzynarodowej i w Polsce. Znajdziemy tu m.in. autorów: Mariana Hemara, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Juliusza Sakowskiego, Mariana Kukiela, Stefanii Kossowskiej, Kazimierza Stepana, Karola Zbyszewskiego czy Zygmunta J. Dąbka.

Ostatnią i zarazem największą objętościową część księgi, zatytułowaną „Najważniejsi są ludzie" poświęcono przypomnieniu sylwetek twórców i współpracowników „Dziennika". Galerię postaci otwierają wspomnienia Władysławy Majewskiej, aktorki Lwowskiej Fali i dziennikarki londyńskiej sekcji Radia Wolna Europa o „Redaktorach, których znałam", przedstawione w rozmowie z redaktor Katarzyną Bzowską. Kolejni bohaterowie tej 60-letniej historii to 44 osoby, uwiecznione w portretach różnych autorów, m.in.: generał Władysław Anders - przewodniczący Rady Powierniczej Polskiej Fundacji Kulturalnej w latach 1959-1970; Stanisław Baliński - poeta, prozaik, eseista, prowadzący w „Dzienniku" przeszło dwadzieścia lat cotygodniową rubrykę „Rozmaitości"; Zbigniew Błażyński - stały publicysta „Tygodnia" oraz dyrektor Polskiej Fundacji Kulturalnej w latach 1983-85; płk Antoni Bogusławski - poeta i dziennikarz, prezes Fundacji „Dziennika" w latach 1945-56; Aleksander Bregman - redaktor naczelny „Dziennika w latach 1959-62; Jan Czarnocki - redaktor naczelny „Dziennika" w latach 1945-47; Antoni Czułowski - publicysta, zastępca naczelnego „Dziennika" w latach 1986-90; Maciej Feldhuzen - sekretarz redakcji „Dziennika Żołnierza" i wieloletni korespondent; Marian Hemar - stały felietonista; Ryszard Kiersnowski - publicysta; Józef Łobodowski - wieloletni felietonista; Ludwik Łubieński - wieloletni członek Rady Powierniczej PFK; Franciszek Miszczak - wieloletni pracownik administracji „Dziennika"; Edward Raczyński - prezydent RP na uchodźstwie; gen. Klemens Rudnicki - wieloletni członek Rady Powierniczej PFK; Stefan Soboniewski - wieloletni prezes PFK; Antoni Wasilewski - rysownik-karykaturzysta, redaktor i publicysta „Dziennika Żołnierza"; Wiesław Wohnout - dziennikarz, redaktor naczelny „Dziennika" w latach 1962-73; Karol Zbyszewski - dziennikarz od początku związany z pismem i redaktor naczelny w latach 1973-84 i Tadeusz Żenczykowski-Zawadzki - redaktor „Dzien-

Red. Katarzyna Bzowska

nika" i członek Rady Powierniczej PFK.

Na zakończenie galerii postaci redaktor Katarzyna Bzowska zamieściła notki o obecnych członkach Rady Powierniczej PFK, której głównym zadaniem jest zapewnienie wydawania pisma oraz przedstawiła swój zespół redakcyjny - na zdjęciu - przed nową siedzibą redakcji przy Jeddo Road.

Księga pamiątkowa - album zawiera wiele interesujących starych zdjęć oraz indeks nazwisk, które dopełniają ogromną kopalnię wiedzy zawartą w tym wydawnictwie.

tekst i zdjęcia - Jolanta Wroczyńska

Dopóki jest „Dziennik" - jestem..., praca zbiorowa pod red. Katarzyny Bzowskiej, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 2000, ss. 416.

Od redakcji: 15 września br. w Sali Zielonej Domu Polonii w Warszawie odbyła się promocja albumu, w której udział wzięli: Tadeusz Walczak - prezes Polskiej Fundacji Kulturalnej, Katarzyna Bzowska - redaktor naczelny „Dziennika Polskiego i Żołnierza Polskiego" i Andrzej Chodkiewicz - dyrektor Biura Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Fragmenty książki czytał Henryk Machalica, a podkład muzyczny zapewnił przy fortepianie Zbigniew Rymarz.

Związek dziennikarzy na Wschodzie

W dniach 3 - 4 września br. w Warszawie odbył się Zjazd Założycielski Związku Dziennikarzy Polskich na Wschodzie „Media Polskie". Wzięli w nim udział przedstawiciele największych redakcji polskojęzycznych mediów z Ukrainy - „Gazety Lwowskiej", „Radia Lwów" i „Biuletynu Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie", z Białorusi - „Głosu znad Niemna" i „Ziemi Lidzkiej", z Litwy - „Kuriera Wileńskiego" i „Naszej Gazety", z Łotwy - „Echa Rygi" i „Łatgalii" oraz „Naszej Polonii" z Estonii.

Podczas Zjazdu uzgodniono statut i przyjęto „Zasady pracy i podstawy etyki prasy polskiej na Wschodzie" oraz wybrano władze. Prezesem został Michał Bieniasz z estońskiej „Naszej Polonii", a zarząd stanowią: Zygmunt Żdanowicz z „Kuriera Wileńskiego", Ryszard Maciejkianiec z wileńskiej „Naszej Gazety", Bożena Rafalska z „Gazety Lwowskiej" i Andrzej Kusielczuk z „Głosu znad Niemna".

Tuchomie 2000

W sierpniu w Tuchomiu pod Bytowem zakończyło się kolejne, VIII Międzynarodowe Sympozjum Artystów, o którym - jak i innych sukcesach Europejskiego Laboratorium Sztuki - informowaliśmy w poprzednim numerze. Tego lata Barbara Ur i Andrzej Piwarski gościli twórców polonijnych, których pobyt na plenerze finansuje nasze Stowarzyszenie oraz artystów z Niemiec i USA. Gościem honorowym inauguracji Sympozjum była sen. Anna Bogucka-Skowrońska, członek senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, a „Wspólnota Polska" uczestniczyła w uroczystości z obiektywem.

St. Pawłowska z tuchomskiego Stowarzyszenia Europejskie Laboratorium Sztuki pracuje w każdych, nawet polowych, warunkach

Goście pleneru - sen. A. Bogucka-Skowrońska i ks. Jan ze Słupska

Wanja Richter-Koppitz z Niemiec - jej tworzywem artystycznym są aparaty fotograficzne

Wszystko dla artystów - A. Piwarski uruchamia nową fontannę

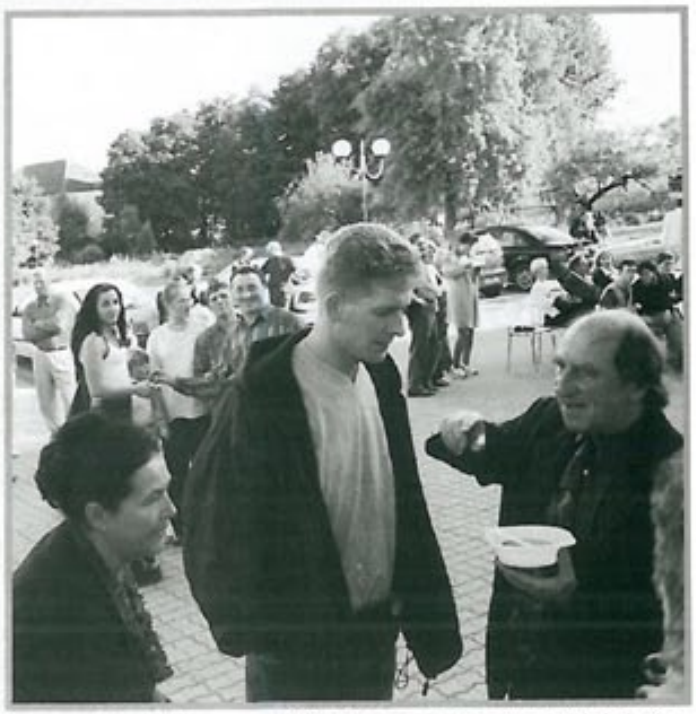

Inauguracja trwała długo - grochówka regeneracyjna nie wadzi dyskusjom

Pożegnanie kuriera

Jan Karski (1914 - 2000)

13 lipca zmarł w Waszyngtonie Jan Karski, legendarny kurier polskiego podziemia, który w 1942 roku przekazał na Zachód wiadomość o zagładzie Żydów. Miał 86 lat. Był postacią mniej znaną niż wskazywałyby na to jego zasługi. Te z pewnością dowiodły, że był jednym z najwybitniejszych Polaków naszego stulecia. Karski to jeden z okupacyjnych pseudonimów Profesora. Naprawdę nazywał się Kozielewski i urodził się w Łodzi w 1914 roku. Skończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, od 1935 roku pracował w dyplomacji. We wrześniu 1939 roku dostał się do sowieckiej niewoli, ale objęty wymianą jeńców między ZSRR a Niemcami, zbiegł z transportu i trafił do konspiracji. Był obdarzony fenomenalną, wręcz fotograficzną pamięcią, z której znany był w podziemiu. Znał także kilka języków, więc powierzano mu ważne misje. Gdy rozmawiałam z nim pięć lat temu, po otrzymaniu Orderu Orła Białego, i zapytałam o początki jego konspiracyjnej kariery, właśnie w tym upatrywał skierowania go do kurierskiej misji. Mówił wówczas: „Byłem młody, miałem dobrą pamięć, znałem języki, a ponadto byłem nikim. Takich jak ja było tysiące, ale oni zginęli, a ja przeżyłem i dlatego czasem usiłuje się ze mnie robić bohatera. A ja nim nie byłem". Po raz pierwszy wyruszył przez Tatry do Paryża w styczniu 1940 roku. W czerwcu tegoż roku, aresztowany na Słowacji, został odbity przez grupę PPS z Nowego Sącza. W październiku 1942 roku wyruszył z trzecią, najważniejszą misją kurierską na Zachód. Przygotowując się do niej dwa razy wszedł do warszawskiego getta, pojechał też do obozu dla Żydów w Izbicy Lubelskiej. Wstrząśnięty tym, co zobaczył, starał się przekonać Roosevelta i Churchilla o konieczności ratowania mordowanych Żydów. Bez skutku. Nie wierzyli mu nawet przywódcy amerykańskich Żydów. Słynna była i często cytowana przez Profesora odpowiedź sędziego Sądu Najwyższego USA Feliksa Frankfurtera: „Nie mówię, że pan kłamie, ale nie mogę panu uwierzyć". Do końca życia uważał, że nie najlepiej wywiązał się ze swojej misji, a Żydzi nie mieli do niego szczęścia, bo nie był w stanie, mimo ogromnych wysiłków, uratować ich. Po wojnie Profesor Karski został w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładał historię dyplomacji na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Konsekwencją wykładów, których między innymi słuchała obecna sekretarz stanu Madeleine Albright, była książka „Alianci zachodni wobec Polski w latach 1918 - 1939". Jan Karski dwukrotnie został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, był Kawalerem Orderu Orła Białego, a państwo Izrael nadało mu, rzadko przyznawane obcokrajowcom, honorowe obywatelstwo. Otrzymał tytuł sprawiedliwy wśród Narodów Świata, a izraelski Instytut Yad Vashem zgłosił go do pokojowej Nagrody Nobla. Profesor Karski zawsze chadzał własnymi drogami, unikając środowisk polonijnych. Wielu emigrantów irytowały jego pełne gombrowiczowskiej przekory oświadczenia, że jest „Amerykaninem mówiącym po polsku". Wielu zazdrościło mu rozległych kontaktów w środowisku amerykańskich Żydów i w świecie akademickim, które stały się niesłychanie przydatne, kiedy Profesor Karski użył swojego autorytetu, żeby uzyskać poparcie tych grup dla członkostwa Polski w NATO. Jeszcze w maju był w Polsce. Odebrał honorowe obywatelstwo rodzinnej Łodzi, a na targach książki w Warszawie przedstawiał swoją słynną książkę „Tajne państwo - opowieść o Polskim Państwie Podziemnym", którą wydano w Polsce po 55 latach od publikacji w USA. Podczas ostatnich tygodni przeczuwał nadchodzącą śmierć i żegnał się z wieloma przyjaciółmi. Będąc w kraju także mówił, że to jego ostatnia wizyta w Polsce. Podczas uroczystości pogrzebowych w Katedrze św. Mateusza Apostoła w Waszyngtonie odczytany został list prezydenta Stanów Zjednoczonych, Bill Clinton napisał: „Hillary i ja przyłączamy się do wszystkich, którzy składają hołd pamięci Jana Karskiego. Był on odważnym człowiekiem, który wymagał od nas tego, czego wymagał od siebie, żebyśmy widzieli jasno istnienie niesprawiedliwości i zła na świecie i nieustraszenie dążyli do ich pokonania". Rabin Michael Berenbaum odmówił żydowską modlitwę za zmarłych, po której powiedział: „Jan Karski żył po to, abyśmy pamiętali".

Bogna Kaniewska

Krajowe Stowarzyszenie Brasławian w Polsce

„Jak dobrze wrócić w stare zakątki,
I wspomnieć chwile co w sercu żyją,
Odplatać dziejów minionych wątki,
I pić ze źródeł co jeszcze biją".
(Jan Hrynkiewicz, „Wiew wspomnień")

Brasławianie, mieszkańcy historycznej Brasławszczyzny (Białoruś) mieszkają obecnie w wielu miastach i miejscowościach dzisiejszej Polski. Od półwiecza zachowują swoją specyfikę w zakresie tradycji i zwyczajów brasławskich. W nowych warunkach historycznych dążą do utrzymania dobrosąsiedzkich kontaktów z mieszkańcami dzisiejszej Brasławszczyzny, na terenach której kiedyś mieszkali ich dziadowie i pradziadowie. Jedynym pomnikiem ich obecności na tamtej ziemi są tylko świątynie oraz wiejskie i miejskie cmentarze, bo wszystko inne pochłonął czas nienawiści i zniszczenia. Tylko te pomniki przeszłości wszystko pamiętają, więc trzeba do nich wracać nawet na progu XXI wieku i otoczyć szczególną opieką. Trudno szukać śladów przeszłości, gdy już nie ma ludzi, a zostały tylko smutne drzewa i polne kwiaty. Jak odszukać przeszłość, gdy już nie ma i tych świadków?

Proces integracyjny byłych zesłańców historii tej ziemi trwał bardzo długo, a pracowali nań przez wiele lat znani i nieznani Brasławianie, osoby różnego wieku i zawodu, a nawet mieszkający poza granicami Polski. Ich dążeniem było stworzenie miejsca, które pozwoliłoby zachować w pamięci historycznej ich dokonania dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Do społecznych organizatorów ogólnokrajowego centrum Brasławian w Polsce należy zaliczyć Marie Hanuszek, Czesława Platta, Johna Conrada, Józefa Czekana, Bogusława Zawiszę, Leona Wojciechowicza i Włodzimierza Skukowskiego. 18 marca 1995 roku zostało zorganizowane ogólnopolskie spotkanie Brasławian w Olsztynie, na którym wybrano Komitet Założycielski Stowarzyszenia, w skład którego weszli Czesław Platt, Włodzimierz Skukowski i Józef Czekan. Wybrano 17-osobowy Zarząd Główny Krajowego Stowarzyszenia Brasławian, którego pierwszym prezesem został dr Włodzimierz Skukowski, a wiceprezesami - Józef Czekan i Leon Wojciechowicz.

Krajowe Stowarzyszenie Brasławian realizuje zadania organizacyjne na zasadach pracy społecznej. Członkowie stowarzyszenia przeznaczają swój czas na budowanie dobra dla innych. Większość naszych członków należy do ludzi trzeciego pokolenia, żyjących wspomnieniami Brasławszczyzny, do której chętnie wracają w marzeniach jak wędrowne ptaki do rodzinnych gniazd. Obecnie mogą już odwiedzić rodzinne strony.

Zarząd Główny Krajowego Stowarzyszenia Brasławian każdego roku organizuje wyjazdy pielgrzymkowe do miast i miejscowości historycznej Brasławszczyzny. Pierwsza pielgrzymka do krainy dzieciństwa i młodości została zorganizowana w lipcu 1995 roku. Po 50-letniej nieobecności każdy pielgrzym szukał śladów swoich rodzin i mogił przodków. Niszcząca siła zła doprowadziła do zniszczenia nie tylko ludzi, ale i miejsc ich zamieszkania. Po domach rodzinnych pozostał tylko nieznany skrawek ziemi, a na miejscu parafialnego cmentarza została wybudowana droga. Smutek i żal zapanował w sercach i na twarzach brasławskich pielgrzymów, szukających znaków czasu na ziemi umarłej przeszłości.

Warto wspomnieć i kolejne spotkanie na brasławskiej ziemi, które było związane z uroczystym pogrzebem akowców, zapomnianych bohaterów tej umęczonej ziemi, na cmentarzu w Miłaszach, gdzie w gęstej zieleni słychać śpiew ptaków i szum pięknych iglastych drzew. Z udziałem mieszkańców odbył się uroczysty pogrzeb tych, którzy oddali swe życie za wolność i polskość tych ziem. Był śpiew kościelny i cicha modlitwa.

Na brasławskiej ziemi szybko odradza się życie religijne i kulturalne mniejszości polskiej. W odnowionych kościołach rozbrzmiewa wielojęzyczna modlitwa, a w brasławskich szkołach słychać mowę polską.

Obecnie na terenie kraju prowadzą aktywną działalność cztery Oddziały Terenowe Krajowego Stowarzyszenia Brasławian: w Kętrzynie, Warszawie, Szczecinie i Olsztynie. Zarząd Główny Stowarzyszenia wydaje biuletyn informacyjny pt. „Brasławianie", w którym publikowane są artykuły i wspomnienia Brasławian. W księgarniach można spotkać książki autorów brasławskich: Władysława Ostrowskiego „Pozostał pusty dom" (1992), Józefa Czekana „Życie akowca" (1997), Kazimierza Krauzego „Wawrzeckiego", „Ostatni raport" (1997), Michała Milenkiewicza „Sylwetki Brasławian zasłużonych dla małej wielkiej ojczyzny" cz. I (1998), Bogusława Zawiszy „Wędrowcy znad Dźwiny" (1999).

Zarząd Główny Krajowego Stowarzyszenia Brasławian w Polsce dąży do utrwalenia fundamentów kultury polskiej na Brasławszczyźnie poprzez tworzenie filialnych punktów polskiej książki, bowiem tam naprawdę istnieje głód polskiego słowa drukowanego oraz inwentaryzację cmentarzy katolickich.

Obecnie funkcję prezesa Zarządu Głównego Krajowego Stowarzyszenia Brasławian w Polsce pełni żołnierz AK, brasławianin, autor książki „Życie Akowca" - Józef Czekan.

Włodzimierz Skukowski

Krajowe Stowarzyszenie Brasławian w Polsce
Józef Czekan
11-400 Kętrzyn
ul. Limaniowskiego 15.

Wspomnienie września 1939 roku

Pomimo minionych sześćdziesięciu lat, jakże świeżo zostały w mej pamięci te straszne wspomnienia z września 1939 roku. Chcę opowiedzieć swoje dziecięce wrażenia z tych dni na Kresach Rzeczypospolitej Polskiej w Brasławiu, powiatowym mieście województwa wileńskiego.

Jak zwykle 1 września poszliśmy do swojej brasławskiej szkoły, ale zamiast lekcji była mowa o wojnie i wrogu, który napadł na naszą Ojczyznę. W następne dni pomimo strachu i przerażenia zbieraliśmy się w szkole, by pójść do Rackiego Boru oddalonego o 7 km od Brasławia, gdzie znajdowały się koszary wojskowe (w czasie pokoju w każdą niedzielę w lecie odbywały się tam ogniska, na które chodziła młodzież z sąsiednich wsi). Teraz żołnierzy nie było, bo odjechali w stronę niemieckiej granicy na front. Zbieraliśmy biały mech, który służył jako materiał opatrunkowy dla rannych. Z domów przynosiliśmy stare prześcieradła, z których robiliśmy bandaże (z tego widać, że Polska nie była przygotowana do wojny). Nie wiem, czy nasze opatrunki, które robiliśmy z sercem, doszły do walczących żołnierzy, bo już 17 września wojska sowieckie przekroczyły z drugiej strony wcale niestrzeżoną granicę Polski.

Nie znam dokładnej daty, lecz dobrze wiem, że była to niedziela i rodzice - jak zwykle - pojechali do kościoła, a ja zostałam w domu, bo bardzo bolała mnie noga. Wkrótce ro-

dzice wrócili zrozpaczeni i zapłakani. Dla mnie było jasne, że stało się coś okropnego. Ojciec powiedział, że Moskale są już pod Brasławiem i że wysadzono w pobliżu most.

W naszej rodzinie było troje dzieci i żadne nie chciało się bawić ani wyjść do koleżanek. W tym przerażeniu zostaliśmy do wieczora, a ojciec nieustannie słuchał radia, chcąc dowiedzieć się, co dzieje się na froncie.

Tak minęła niedziela. Życie na wsi wymagało jednak pracy, więc cała rodzina poszła w pole kopać ziemniaki, a ja z bolącą nogą znów zostałam sama w domu. Po południu szare straszne wojsko (czerwonoarmiści) zajęło cały nasz dziedziniec i ogród. Przerażona, zapominając o chorej nodze i zostawiając otwarte wszystkie drzwi, pobiegłam na pole, krzycząc: „Mamo, tato, prędzej do domu, bo pełny dziedziniec judaszów". Podobnych widziałam tylko w kościele na obrazach Męki Pańskiej, obchodząc stacje drogi krzyżowej. To był dla mnie pamiętny dzień.

Po pewnym czasie nasza szkoła zaczęła pracować, lecz już jako rosyjska. Cofnięto mnie wówczas o jedną klasę i uczono tylko po rosyjsku. Modlitwa, do której byliśmy przyzwyczajeni przed lekcjami, teraz była zabroniona, ale i tak przychodziliśmy wcześniej, by modlić się w konspiracji. Nie trwało to długo, ponieważ sowieccy oficerowie sprowadzili swoje rodziny, a ich dzieci zaczęły chodzić do naszej szkoły, więc nie mogliśmy się już modlić. Spotykaliśmy się jednak w swoich grupach i szeptaliśmy sobie o tym, że Polska zwycięży, że powróci do nas Ojczyzna. Naszych nauczycieli, których lubiliśmy i kochaliśmy - aresztowano. W gmachu starostwa, znajdującym się obok szkoły, osadzono w piwnicy pana Owczarskiego, panią Cybulską i innych, a my na przerwach biegaliśmy do nich, by przez małe więzienne okienko wrzucić im swoje kanapki. Potem pod strażą poprowadzono ich na stację, by wywieźć na Syberię. A my, nie zważając na rosyjskiego nauczyciela, wybiegliśmy, by ostatni raz pomachać im na pożegnanie.

Józefa Koblenc, Ryga

Władysław Ossowski - wspomnienie

Zmarł „Mały Władzio", król białych kurierów, który podczas II wojny światowej przeprowadzał przez zieloną granicę polskich oficerów i osoby uciekające przed NKWD.

Władysław Ossowski urodził się w 1925 r. we wsi Iwaszkowce, leżącej nad granicą polsko-czechosłowacką, a od 1938 r. nad granicą polsko-węgierską. Uczył się w gimnazjum w pobliskim Turku. W październiku 1939 przeprowadził przez zieloną granicę na Węgry na prośbę swej nauczycielki pierwszą grupę polskich oficerów. Po szczęśliwym dotarciu do konsulatu polskiego w Budapeszcie został zaprzysiężony na żołnierza - został kurierem i przewodnikiem. 8 lipca 1940 r. „Małego Władzia" i grupę osób, które miał przeprowadzić przez granicę, aresztowało w Komarnikach NKWD.

Po wielomiesięcznym śledztwie i pobytach w więzieniach w Drohobyczu i Lwowie Władysław Ossowski dostał pięć lat łagru za „szpiegostwo na rzecz Polski i Węgier". W 1945 r. jako osoba „niebezpieczna dla społeczeństwa sowieckiego" otrzymał drugi wyrok - dwa lata łagru, a w 1947 r. został skazany po raz trzeci na pięć lat zesłania w obwodzie tiumeńskim. W czasie zsyłki aresztowało go NKWD i w 1949 r. został skazany za szpiegostwo na dożywotnie zesłanie do Kraju Krasnojarskiego. Tam w 1948 r. poślubił Elżbietę Sobolewą. Z zesłania zwolniono go dopiero w 1957 r., a wyrok rehabilitacyjny otrzymał w 1990 r.

Do Polski nie mógł się repatriować, ponieważ NKWD wpisało mu w dokumentach narodowość ukraińską. Pozostał więc z żoną i czwórką dzieci w Kraju Krasnojarskim, gdzie pracował jako leśnik, ukończył studia w Irkuckim Instytucie Gospodarki Narodowej, a przed przejściem na emeryturę został dyrektorem ds. ekonomicznych w irkuckim Zjednoczeniu Gospodarstw Leśnych.

Polakom przypomniał go w latach osiemdziesiątych Tadeusz Chciuk (Marek Celt) w wydanej w Londynie książce „Biali kurierzy". W lutym 1991 r. z Władysławem Ossowskim spotkał się w Moskwie Piotr Mitzner z Ośrodka „Karta". Trzy miesiące później jego losy przedstawił w programie „Rewizja nadzwyczajna" Dariusz Baliszewski.

„Małemu Władziowi" przywrócono polskie obywatelstwo, a w 1993 r. prezydent Lech Wałęsa odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Od 1993 r. Władysław Ossowski zamieszkał z częścią rodziny w Legnicy w mieszkaniu ofiarowanym przez miejscowe władze. Zmarł 5 sierpnia 2000 r. i został pochowany na wrocławskim cmentarzu na Sępolnie.

BIULETYN STOWARZYSZENIA WSPÓLNOTA POLSKA

Wydawca: Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska"
ul. Krakowskie Przedmieście 64, 00-322 Warszawa
tel./fax redakcji: (+48 22) 826 88 70
centrala: (+48 22) 827 04 40 w. 263, 826 20 41 - 44 w. 263
e-mail: wspolnota@wspolnota-polska.org.pl
apanecka@wspolnota-polska.org.pl

Redaktor Naczelny: Agnieszka Panecka
Zespół: Iwona Borowska-Popławska, Jolanta Wroczyńska
Opracowanie graficzne: Ratt-Line
Druk: ELIPSA
Indeks: ISSN 1429-8457

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania nadesłanych materiałów. Za poglądy autorów spoza Stowarzyszenia nie odpowiadamy. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.

Konkurs na pamiętniki

Pod egidą Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego ukazuje się miesięcznik „DIALOGUE AND UNIVERSALISM. Metaphilosophy as the Wisdom of Science, Art and Life" oraz jego polskojęzyczna edycja „BIBLIOTEKA DIALOGU - na rzecz szerzenia polskiej intelektualnej kultury na świecie i więzi z krajem". Współpracownikami pisma i autorami są wybitni uczeni i filozofowie, w tym laureaci Nagrody Nobla. Ich prace można przeczytać w internecie na stronach http: //www.dialogue.uw.edu.pl (po angielsku) oraz http: //www.dialogue.uw.edu.pl/biblioteka_dialogu (po polsku). D&U dąży do zdobycia czołowej pozycji w swej dziedzinie i miejsca na filadelfijskiej liście najlepszych publikacji naukowych, co jest uzależnione także od zakresu oddziaływania, czyli współpracy z odbiorcami. Redakcja będzie więc wdzięczna za listy, artykuły i komentarze. Potencjalna siła polskiej emigracji jest ogromna i dotychczas nie wykorzystana w pełni dla dobra niepodzielnej kultury narodowej, m.in. dlatego wzorem klasycznej pracy Thomasa i Znanieckiego „Chłop polski w Europie i Ameryce" redakcja D&U ogłasza konkurs na pamiętniki polskiego inteligenta.

„Dialogue and Universlism"
Instytut Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego
Krakowskie Przedmieście 3
00-047 Warszawa
tel.: (48 22) 826 45 67
fax: (48 22) 826 57 34, 826 75 20
e-mail: dialogue@mercury.ci.uw.edu.pl

Cena rocznika wynosi 50 dolarów, dla Polaków na Wschodzie - 10 dolarów. Do druku w D&U przyjmowane są tylko prace na dyskietkach w językach angielskim i polskim, o objętości do 15 stron, najchętniej komentarze rozwijające idee dyskutowane już na łamach pisma.
Obszerna informacja o konkursie na pamiętniki polskich inteligentów na emigracji ukaże się w numerze 11-12 D&U.

Tańczmy w Recklinghausen

Związek Polaków „Zgoda" w RFN T.z. uprzejmie informuje, że w dniach 21 - 22 października 2000r. w Domu Polskim w Recklinghausen przeprowadzony zostanie I Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Do udziału w Festiwalu zapraszamy polonijne dziecięce i młodzieżowe zespoły folklorystyczne z terenu całej Europy. Głównymi sponsorami naszej dwudniowej imprezy jest Urząd Kanclerza Republiki Federalnej Niemiec oraz Kancelaria Państwowa Landu Północnej Nadrenii Westfalii. Związek Polaków „Zgoda" zapewnia koszty przejazdu uczestników Festiwalu w dwie strony, pełne całodzienne wyżywienie oraz noclegi.

Dla laureatów naszego Festiwalu przewidziane są nagrody w następujących wysokościach:

I miejsce - DM 5.000
II miejsce - DM 3.000
III miejsce - DM 2.000

Ponadto wszystkie grupy występujące w naszym Festiwalu otrzymają pamiątkowe dyplomy i puchary.

Zgłoszenia przyjmuje Związek Polaków „Zgoda" w RFN,
Marienstrasse 50, D - 45663 Recklinghausen,
telefon: 02361 - 652328; fax: 02361 - 656278; e-mail: zgoda-zentrale@t-online.de

Zespoły ubiegające się o udział w naszym Festiwalu, proszone są o pisemne wysłanie swojego zgłoszenia wraz z video - kasetą do 15.09.2000 (decyduje data stempla pocztowego). Program występu eliminacyjnego zespołu folklorystycznego nie może przekraczać 30 minut. W przypadku dużej ilości zgłoszeń, Związek Polaków „Zgoda" zastrzega sobie prawo wyboru zespołu.

Z polonijnym pozdrowieniem
mgr Waldemar Wachowski - prezes Związku Polaków „Zgoda" w RFN

Kresowa Dusza

fot. L. Lorek

Aix en Provence

Fot. A. Panecka

Kościół Polaków w Aix en Provance

Ksiądz Ryszard Biernat wybrał Aix

Magda Guilhou kieruje szkołą w Aix en Provance

Nauczycielki, od lewej: B. Sonrel, M. Foltzer i A. De Haro

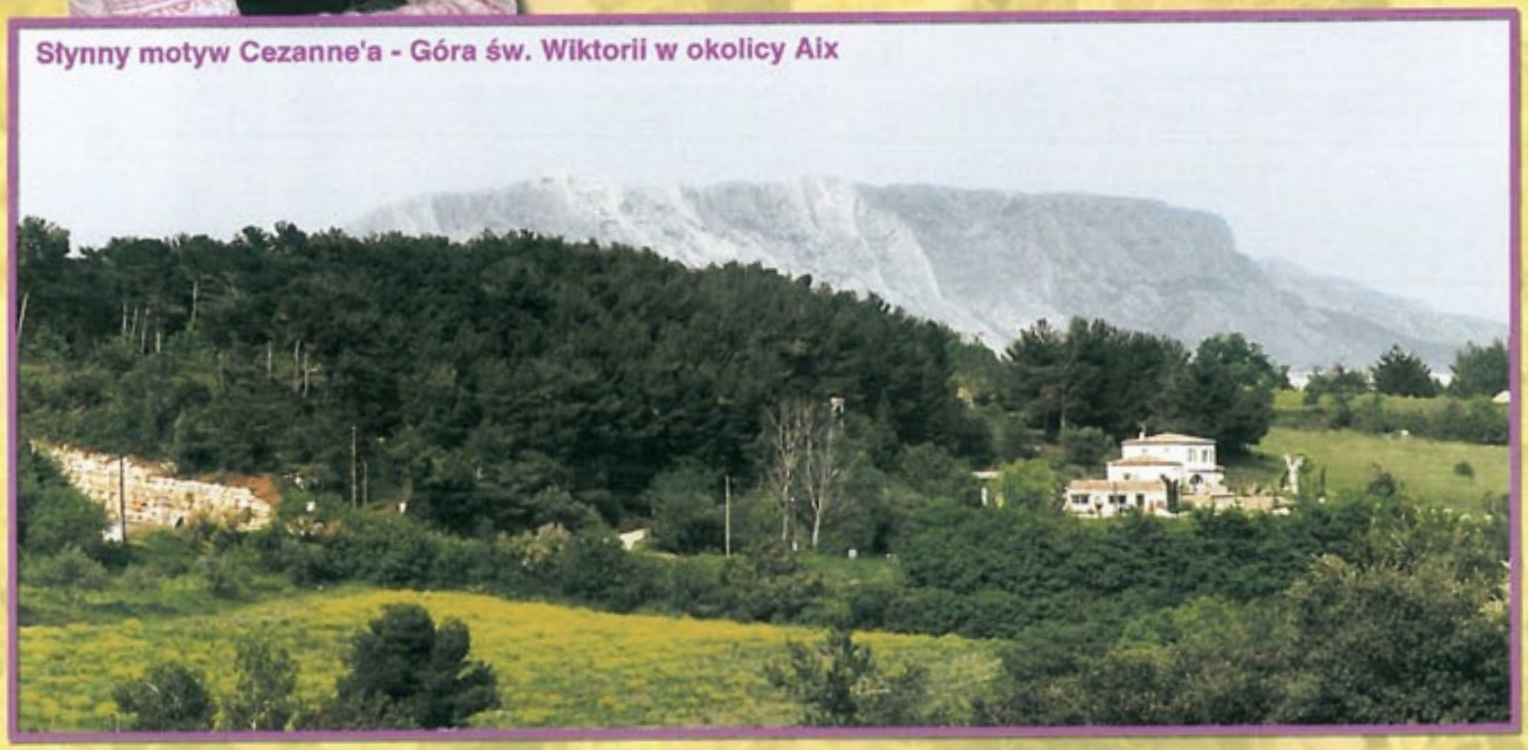

Słynny motyw Cezanne'a - Góra św. Wiktorii w okolicy Aix

Chór „Polonium"

Fot. A. Panecka

"Trotwood" nieoficjalnie
- Jean Christophe Petiet z córką

Rewers i awers Kapelmistrza

Tyle radości z uznania "Wspólnoty"

Ostatnie akordy koncertu 10-lecia Chóru - "Polonium" i zaprzyjaźniony "Trotwood"

AMICALE

Fot. A. Panecka

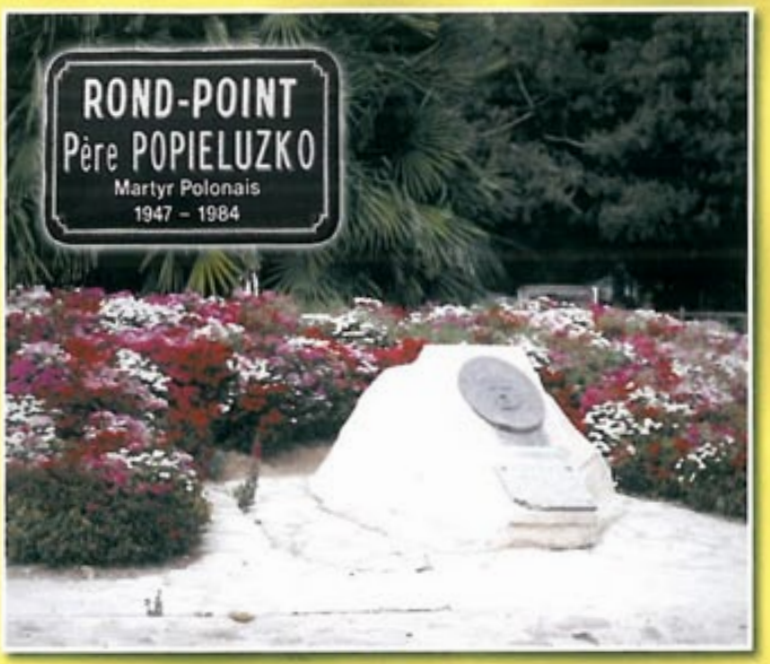

Biblioteka "białych kruków" w tulońskiej siedzibie Amicale

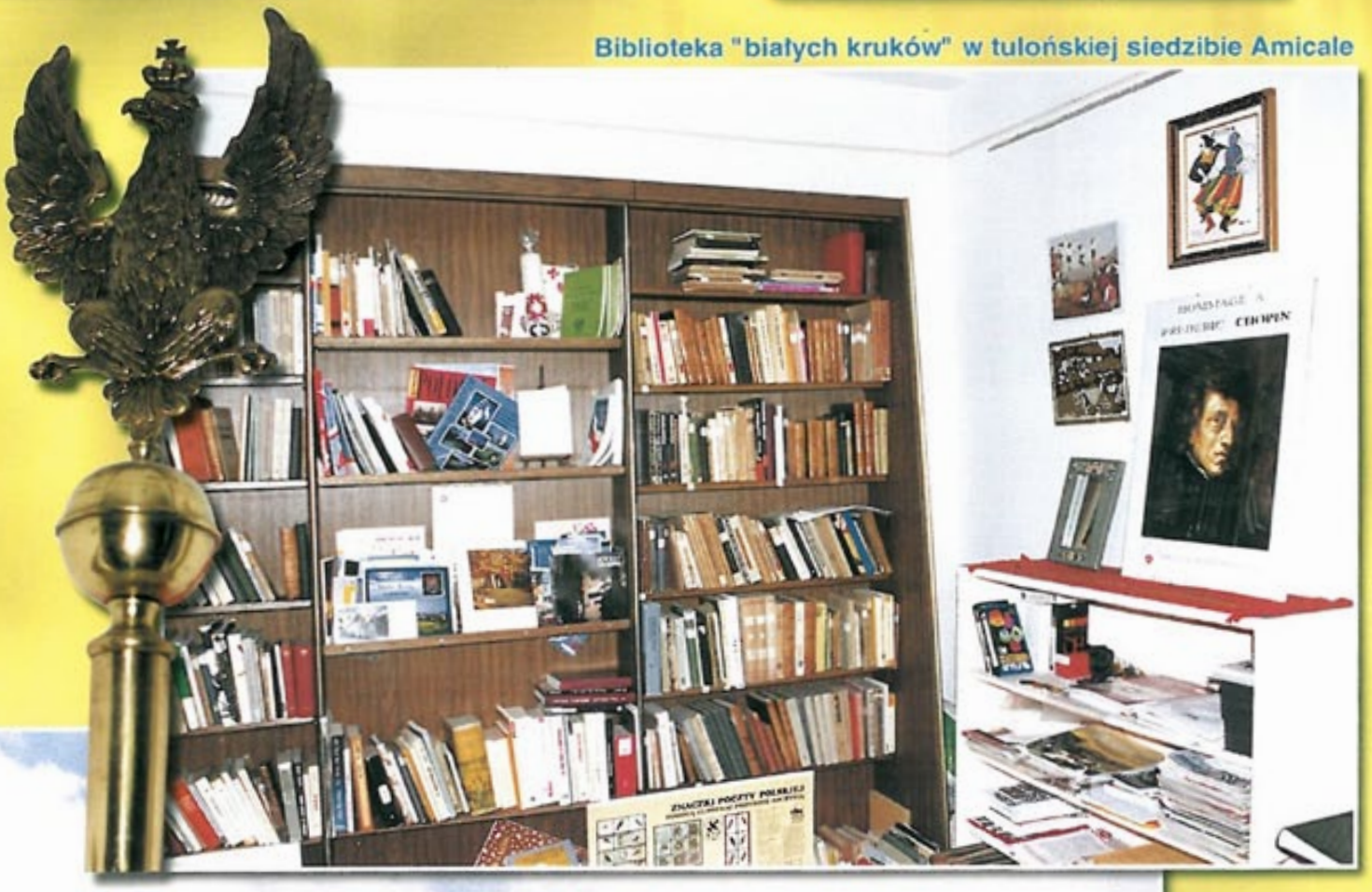

Odświętna Teresa Karbowska - prawniczka
Janusz Karbowski - umysł ścisły, naukowiec z lwowskimi korzeniami

Konsul Generalny RP w Lyonie
R. Jankowiak w świątecznej
polonijnej asyście

Kombatanci z Południowej Francji

Państwo A. i T. Piotrowscy
odznaczeni przez Rzeczpospolitą Polską

Pani Marysia Hołdakowska Gomes Coelho - artystka z Tulonu